

Arkady Fiedler

Dywizjon 303

Warszawa 1996

SPIS TREŚCI

| | |
|--|---|
| SŁÓW KILKA DO XVI I NASTĘPNYCH WYDAŃ „DYWIZJONU 303” | 4 |
| BITWA O BRYTANIĘ 1940 ROKU | 7 |
| MYŚLIWIEC | 10 |
| PIERWSZA WALKA | 12 |
| KOLEŻENSKOŚĆ | 16 |
| A GDY KUL ZABRAKŁO | 19 |
| RAZ NA WOZIE, RAZ POD PODWOZIEM | 1 |
| TŁUSTA PRZEKĄSKA: DORNIERY | 5 |
| BÓL | 8 |
| UŚMIECH POPRZEZ KREW | 11 |
| CHMURA | 14 |
| NAJLICZNIEJSZE ZWYCIĘSTWO | 17 |
| WRÓG TAŃCZY TANIEC ŚMIERCI | 20 |
| SIERŻANT FRANTISZEK — DZIELNY CZECH | Błąd! Nie zdefiniowano zakładki. |
| SZARE KORZENIE BUJNYCH KWIATÓW | 25 |
| LOTNIK BEZ LĘKU I SKAZY | 28 |
| MIT MESSERSCHMITTA 110 | 31 |
| PODSTĘPY | 34 |
| LOSY SIĘ WAŻĄ | 37 |
| LOSY SIĘ ROZSTRZYGNĘŁY | 41 |
| „ZACZYNAMY POZNAWAĆ POLAKÓW” | 44 |

Arkady Fiedler (1894-1985) to jedna z najbardziej niezwykłych postaci polskiej literatury reportażowo-podróżniczej. Już kilka pokoleń czytelników kojarzy go bezbłędnie, choć może nieco jednostronnie, z takimi książkami jak *Ryby śpiewają w Ukajali*, *Kanada pachnąca żywicą*, *Dywizjon 303*, *Dziękuję ci, kapitanie*, *Zdobywamy Amazonkę*, *Rio de Oro* czy *Piękna, straszna Amazonia*. Talent narracyjny, pisarska swada, egzotyczne tło i rzetelność obserwacji, jakie tu demonstrował autor, zapewniły jego utworom milionową publiczność czytelniczą, nie tylko zresztą w naszym kraju.

Tymczasem mało kto już dzisiaj wie i pamięta, że Arkady Fiedler debiutował w 1918 roku jako poeta (tak, tak, kto za młodu nie był poetą...) i to nie byle gdzie, bo na łamach poznańskiego „Zdroju”, organu ekspresjonistów polskich, cyklem wierszy *Czerwone światła ogniska*. Że jako młody człowiek brał udział w powstaniu wielkopolskim (jedynym zwycięskim powstaniu polskim), a w latach 1918-20 działał w POW, że późniejszy pisarz studiował filozofię i nauki przyrodnicze na uniwersytetach w Poznaniu, Berlinie i Krakowie, a ukończył Akademię Sztuk Graficznych i Księgarskich w Lipsku (1923). Że pisarzem został właściwie przypadkowo, gdy jako uczestnik wielu wypraw podróżniczo-turystycznych, najpierw krajowych (*Przez wiry i porohy Dniestru*, 1926), a potem po świecie, nadsyłał korespondencje dla prasy. I że tak na dobrą sprawę, jak wyznaje w swych późniejszych wspomnieniach, początkowo ważniejsze były owe „podróże i przygody” niż same książki, które dostarczały środków finansowych na kolejne wyprawy...

Wybuch drugiej wojny światowej zaskoczył znanego już wtedy literata-podróżnika na dalekiej polinezyjskiej wyspie Tahiti, jednak udało mu się dotrzeć stamtąd do Francji, a po jej upadku do Anglii. Tam, jako oficer Polskich Sił Zbrojnych, znalazł się wśród polskich żołnierzy; lotników i marynarzy: wsłuchiwał się w ich zwierzenia i opowieści. I tak powstały dwie jego bodaj czy nie najpopularniejsze książki, fabularyzowane reportaże literackie: *Dywizjon 303* i *Dziękuję ci, kapitanie*, wydane w Londynie w 1942 i w 1944, a następnie wielokrotnie wznawiane, także w kraju. Oto np., a rzecz to warta przypomnienia, *Dywizjon 303*, ukazujący udział lotników polskich w jednej z najdramatyczniejszych bitew II wojny światowej — „bitwie o Anglię”, był jeszcze w czasie wojny, bo w 1942 rozprowadzany po okupowanym przez Niemców kraju w formie odbitek fotograficznych z wydania londyńskiego, a w 1943 ukazały się w Warszawie co najmniej trzy różne jego konspiracyjne wydania w podziemnych wydawnictwach, kolejne zaś w 1944 w Kielcach, nakładem pisma „Chrobry Szlak”. *Dywizjon 303* odegrał wielką rolę, gdyż budził nadzieję i optymizm, wszak książka mówiła o zwycięskich walkach polskiego żołnierza i powstrzymaniu blizkrieg’u hitlerowskiej ofensywy. Pokazywała wydarzenia, które wpłynęły znacząco na późniejsze losy wojennych zmagani. Sam premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill powiedział po „bitwie o Anglię”, że „Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. A miał na myśli także i polskich lotników, m.in. z *Dywizjonu 303*. *Dywizjon* ten wszedł do bitwy w ostatniej, ale decydującej fazie i walczył przez 43 dni, od 30 sierpnia do 11 października. Piloci *dywizjonu* stracili 126 niemieckich samolotów (w tym 16 trzej jego brytyjscy członkowie). Polscy piloci osiągnęli rekord zwycięstw, a pierwszy z *dywizjonów* brytyjskich miał tylko połowę sukcesów *Dywizjonu 303*. Inna to sprawa, że długo jeszcze po wojnie Brytyjczycy starali się ten fakt zbagatelizować i nawet zatuszować (co mogliśmy zobaczyć np. na filmie angielskim *Bitwa o Anglię*).

Dziś, po grubo ponad pięćdziesięciu latach od „bitwy o Anglię” oraz wydarzeń związanych z udziałem polskich marynarzy i okrętów w wojnie z Niemcami o panowanie na szlakach morskich (*Dziękuję ci, kapitanie*), gdy dla większości czytelników obu tych książek Fiedlera, są to dobrze znane z różnych źródeł wydarzenia już ściśle historyczne, na które patrzymy *sine irae et studio*, te pisane na gorąco reportaże wcale nie straciły na atrakcyjności czytelniczej. Przeciwnie, bo teraz dopiero widać wyraźnie, że poza swymi walorami

poznawczymi zawierają coś, czego próżno by szukać w fachowych i rzeczowych opracowaniach naukowych czy podręcznikowych. To coś, to autentyczna, niepowtarzalna i nie do podrobienia po latach aura uchwyconych na żywo przeżyć, zachowań, nastrojów, pragnień, marzeń i nostalgicznych tęsknot polskich żołnierzy: oficerów i szeregowych uczestników wielkich i decydujących o losach wojny i świata wydarzeń. Tę atmosferę walki i życia codziennego polskich żołnierzy, znajdujących pomoc i możliwość działania w Anglii, obie te tak bliskie sobie tematycznie książki Fiedlera, odtwarzają w sposób nie tylko żywy i barwny, pozbawiony przy tym patosu i tromtadracji hurapatriotycznej (która najczęściej wyrasta z ksenofobii narodowej), ale i pełen prawdy o zarówno wielkich jak i małych problemach historyczno-egzystencjalnych: dramatach losów żołnierskich na obczyźnie oraz zabawnych, opisanych z poczuciem humoru (często wisielczego), tragikomicznych wydarzeniach i perypetiach całkiem już prywatnego życia bohaterów.

Janusz Termer

SŁÓW KILKA DO XVI I NASTĘPNYCH WYDAŃ „DYWIZJONU 303”

Gdy we wrześniu 1940 roku zameldowałem się w Londynie u generała Władysława Sikorskiego, głównodowodzącego Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii, zdziwiłem się, że żaden z licznych na Wyspie literatów polskich nie wpadł dotychczas na pomysł ujęcia piórem rewelacyjnych wyczynów polskich lotników z Dywizjonu 303, o których tyle hymnów pochwalnych właśnie pisano w prasie angielskiej. Generał Sikorski z serdeczną ochotą dał mi rozkaz napisania szerszej relacji o akcji Dywizjonu 303 i skierował mnie na lotnisko w Northolt pod Londynem, gdzie Dywizjon 303 stacjonował. Zaprzyjaźniwszy się łatwo z większością dywizjonu, zarówno z myśliwcami jak mechanikami, skwapliwie zabrałem się do pracy, którą postanowiłem ująć jako szersze sprawozdanie z pola walki, pisane na gorąco i gorącym sercem patrioty, sprawozdanie, a nie utwór tak zwanej literatury pięknej — bo takie właśnie było kategoryczne zapotrzebowanie w tej wyjątkowej, napiętej chwili.

Spośród wszystkich moich książek *Dywizjon 303* jest chyba utworem pisanym najbardziej na gorąco, pod bezpośrednim wrażeniem rozgrywających się w 1940 roku wypadków: pierwsze stronicie powstawały już podczas ostatniej fazy owego osobliwego dramatu, nazwanego Bitwą o Brytanię, a ostatnie stronicie kończyłem kilkanaście tygodni później, kiedy wciąż jeszcze, niby echo owej bitwy, warczały nocą nad Londynem motory Luftwaffe i padały bomby na miasto.

Pomimo że książka rodziła się na podłożu wybitnie wzruszeniowym i pomimo że od tego czasu świat postąpił tak ogromnie naprzód i że oczywiście świadomość autora w ciągu tych trzydziestu kilku lat również dojrzewała — z pewnym zdumieniem wypada stwierdzić fakt, że przygotowując książkę do nowego wydania, nie potrzebowałem dokonywać w niej żadnych zasadniczych zmian. To, czemu nadałem nieco inną postać, dotyczy nikłych, ubocznych, drugorzędnych rzeczy.

Należy chyba do dziwactw londyńskiej emigracji polskiej i do groteski jej „potępieńczych swarów”, że książka *Dywizjon 303* od samego początku, już przy jej pisaniu, napotykała niezwykle, można powiedzieć, maniackie wstręty i trudności ze strony najmniej oczekiwanej: ze strony sztabu Polskich Sił Zbrojnych, ulokowanego w hotelu „Rubens” w Londynie. Ci oficerowie sztabowi wychodzili niemal ze skóry, żeby nie dopuścić do pisania o młodych lotnikach z Dywizjonu 303. Małostkowa zazdrość sztabowców nie widziała dalej niż koniec własnego nosa i prawie dopięła swego: dopiero generał Sikorski musiał energicznie interweniować, ażeby nie zadziobano ani książki, ani jej autora, porucznika rezerwy.

Nie zadziobano, ale nękanano na różne sposoby i z wytrwałością godną podziwu. Więc w „Polsce Walczącej”, organie „rubensowskiego” sztabu Polskich Sił Zbrojnych, pojawił się wiosną 1941 roku szpetny paszkwil przeciwko mnie właśnie dlatego, że zabrałem się do pisania *Dywizjonu 303*: zaplątano mnie z tej racji w idiotyczną trzyletnią sprawę honorową, toczącą się przed sądem honorowym wyżej wymienionego sztabu PSZ; jeszcze w 1944 roku kierownik biura propagandy tego sztabu, pułkownik, którego nazwiska nie pamiętam, kategorycznie, odmówił poparcia, by *Dywizjon 303* ponownie wyszedł po angielsku. Wyszedł — niezależnie od humorów pewnych kół w sztabie PSZ w Londynie i wbrew ich

kapryśnej woli.

Pomimo tych intryg książka, jako dokument bohaterstwa polskich lotników, poszła mocno w świat i skutecznie spełniała wyznaczone jej zadanie. Budziła sympatię i uznanie dla Polaków wśród czytelników w Wielkiej Brytanii i jej dominiach, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, we francuskiej Kanadzie, w Brazylii. O zapale, z jakim ją wszędzie w tych krajach czytano, świadczy blisko trzysta entuzjastycznych na ogół recenzji prasowych.

W roku 1943 książka pojawiła się w okupowanej Polsce. Poza londyńskim lilipecim wydaniem, przerzuconym samolotami do Kraju, wyszło tu kilka wydań podziemnych. W owym dla terroryzowanych Polaków szczególnie groźnym roku 1943 ta właśnie książka odegrała wyjątkowo ważną rolę jako ożywczy zastrzyk otuchy. Wzmocniła ducha oporu, wielu natchnęła nową odwagą. Największa to chyba satysfakcja i wielka nagroda dla autora. Powodzenie książki w Polsce okupowanej wykorzystał na swój sposób angielski wydawca, dając w swym wydaniu *Squadron 303* z roku 1945 na okładce opaskę z napisem w angielskim języku: „Jedyna polska książka, pisana na obczyźnie, a wydana także w Polsce okupowanej w 1943 roku”.

Gdybym dziś miał od nowa pisać *Dywizjon 303* (rzecz nie tak bardzo niemożliwa, bo w swych notatkach posiadam jeszcze wiele ciekawych, a nie wykorzystanych materiałów) — dziś książkę dałbym inne zakończenie. Dotychczasowy apel do Brytyjczyków, ażeby uczciwie i rozumnie patrzeli na naród polski, uzupełniłbym prośbą o przyjazd nad Wisłę, Wartę i Odrę i o naoczne stwierdzenie, że z tą samą dzielnością, z jaką Polacy ongiś bronili frontu lotniczego nad Anglią, dziś cały naród zabrał się do odbudowy i rozbudowy zniszczonej ojczyzny.

Poszedłbym jeszcze dalej: przecież *Dywizjon 303* pisałem dla Polaków, nie tylko dla cudzoziemców. Toteż serdecznie wezwałbym wszystkich rodaków rozproszonych po świecie do zobaczenia jedyne miejsce, gdzie oddycha się własnym powietrzem pod własnym niebem na własnej glebie, gdzie własnym językiem porozumiewa się z bracią, buduje się własne, jedyne szczęście i wykuwa własny los dla siebie i swych dzieci — czego żaden inny kraj, choćby nie wiem jak zamożny i gościnnie, nam dać nie może.

Więc z ową uczciwością, jaką włożyłem w pisanie *Dywizjonu 303*, z tym samym sumieniem chciałbym skierować apel do wszystkich rodaków na świecie, by nie głuzyli głosu swego serca i uświadomili sobie, czym jest ojczyzna i co im dać może. Widziałem film pod tytułem *Bitwa o Brytanię*, wykonany około 1970 roku przez Brytyjczyków z wielkim nakładem finansowym i wśród ogromnej reklamy i — przyznać się muszę — ogarnęło mnie lekkie uczucie zakłopotania. Może nawet niesmaku. Po latach zimnowojennej ciszy w Anglii na temat polskich myśliwców, biorących udział w owej decydującej dla Brytyjczyków bitwie (o czym piszę na końcu pierwszego rozdziału niniejszej książki), przerwano oto milczenie i pokazano polskich myśliwców w owym wielkim filmie. Ale jak dziwnie pokazano!

Przecież żyłem wśród nich dniem i nocą przez szereg miesięcy, ocierałem się o ich boki, przyglądałem im się z bliska, przysłuchiwałem się ich rozmowom, toteż wiem dokładnie, jacy oni byli i jak postępowali. Wiem, że gdy wychodzili do walki w ostatnim dniu sierpnia 1940 roku, już nieźle władali językiem angielskim. Także pamiętam dobrze, że w czasie bojowych lotów nigdy nie hałasowali jak rozgęgane stado gęsi: to należało do wyjątków, gdy rzucali sobie żartobliwe, skąpe słówka, jak w rozdziale *Koleżeńskość*. I wcale nie przypominali niesfornych, nierozgarniętych uczniaków, których brytyjski oficer (jak w filmie) musiał przywoływać do porządku.

Z filmu niestety nie dowiadujemy się o wyjątkowo wysokich przymiotach, i bojowych, i ogólnoludzkich, jakimi odznaczeni się polscy lotnicy w Wielkiej Brytanii a szczególnie myśliwcy dywizjonów 303 i 302.

Ej, brytyjscy scenarzyści filmu coś tam nieładnie nawalili, jakoś pamięć ich zawiodła.
Arkady Fiedler Poznań, styczeń 1973

BITWA O BRYTANIĘ 1940 ROKU

Wszyscy to wiedzieliśmy, wszyscy to przeżywaliśmy, a jednak trzeba było to sobie wyraźnie i jeszcze raz uprzytomnić: lato 1940 roku było straszne. Straszne dla wszystkich ludzi dobrej woli. Wtedy, w owym lipcu, nie śpiewały im ptaki, nie pieściło ich słońce, nie dla nich był nawet spokojny chleb, w pocie czoła zdobyty. Cała wolna jeszcze ludzkość przecierała sobie przerażone oczy i budziła się jakby z koszmarnego snu do jawy, która miała być również koszmarem, tylko jeszcze posepniejszym. Światem wstrząsały niebywałe dotychczas dreszcze, serca miliarda ludzi tłukły się w najgorszym przeczuciu, w niepokoju, w rozpacz, w zwątpieniu. Wszyscy ludzie, wszyscy — i ten u góry, i ten na dole, i wrażliwy, i ociężały, i cockney¹ nad Tamizą, i kaboklo² w Brazylii, i górnik w Pensylwanii, i hodowca w Australii, i plantator na Jawie — wszyscy, jakby porażeni, tracili nadzieję. Oczekiwali ostatecznej klęski. Klęski już nie tylko Wielkiej Brytanii, ostatniego wolnego bastionu Aliantów na Zachodzie Europy, lecz całego cywilizowanego świata. I nie byli ani pod wpływem wrogiej propagandy, ani piątej kolumny; mieli inne źródła zwątpienia: fakty. Nagie fakty. Żelazną wymowę faktów.

Wymowa faktów: hitlerowska potęga zadała Polsce, mającej opinię bitnego żołnierza, już po tygodniu wojny śmiertelne pchnięcie, a po czterech tygodniach całkiem ją zdeptała i położyła. Bogatą Francję, drugiego sojusznika, o opinii najlepszego żołnierza, zgmiotła i ujarzmiła w tym samym mniej więcej czasie, krusząc po drodze pięć mniejszych państw. Wielką Brytanię, ostatniego sojusznika, pobiła w tym okresie dwa razy: w Norwegii dotkliwą porażką, w Belgii miazdzącą klęską. Lecz były to, na szczęście Brytanii, klęski na obcym terenie. Teraz zanosilo się na ostatnią bitwę na ostatnim odcinku, to jest na samych Wyspach Brytyjskich, więc ile, wobec poprzednich faktów, pozostawało nadziei?

W istocie położenie było groźne. Powiedział to Brytyjczykom dosadnie Winston Churchill. Z brutalną prawdomównością ostrzegł swój naród o możliwości inwazji i że trzeba będzie w ostatnim, rozpaczliwym wysiłku bronić choćby każdej plaży, każdego domu, każdej ulicy, każdego pola.

Przygotowania hitlerowskie trwały półtora miesiąca od upadku Francji i 8 sierpnia 1940 rozpoczęła się ofensywa, „ostatni akt wojennego dramatu, który — jak zapewniał butny tyran — miał się zakończyć jesienią rozbiciem w puch Imperium Brytyjskiego”.

Niemcy w tej ofensywie nowej broni nie wymyślili; na Anglię rzucili się wypróbowanym systemem: lotnictwem. Owa najstraszliwsza awangarda, siejąca zniszczenie wymową tysięcy bomb, torowała dywizjom hitlerowskim drogę do zwycięstw we wszystkich kampaniach: w Polsce, Norwegii, Holandii, Belgii, Francji. Tam Luftwaffe decydowała. Lotnictwo zadecydować miało też i tu, w Brytanii.

Od dnia 8 sierpnia począwszy roje zbrojnych maszyn napływały nad Anglię. W pierwszym dniu przybyło ich trzysta, kilka dni później — już sześćset. Rozgorzała bitwa, znana pod mianem Bitwy o Brytanię, The Battle of Britain, trwająca pełne dwa miesiące, bitwa jedna z najdziwniejszych w dziejach ludzkości, a zarazem jedna z donioślejszych.

¹ Cockney — (ang.) tu rdzenny londyńczyk o wymowie charakterystycznej dla warstw niewykształconych.

² Kaboklo — właśc. caboclo, metys, pół-Indianin.

Najdziwniejsza, bo rozgrywała się wyłącznie w powietrzu, którego broniło kilkaset brytyjskich myśliwców przed nawałą kilku tysięcy wroga.

Raz zdobyte przez wroga panowanie nad powietrzem Anglii zdałoby ją prawdopodobnie na jego zupełną łaskę, a dalsze zburzenie wszystkich jej ośrodków życia i obrony byłoby już tylko kwestią czasu i ilości bomb. Ażeby ten cel osiągnąć, Luftwaffe wykonała w ciągu owych dwóch miesięcy 98 głównych ataków i użyła do tego około 6000 bojowych samolotów.

Fale po falach szturmowały niebo Anglii z nieprzerwaną gwałtownością. Hordy maszyn siejących spustoszenie wdzierały się od wschodu i od południa. Odparte, wracały; rozgromione, wciąż wracały — łby Hydry, zakłete w skrzydła z krzyżami.

Luftwaffe chciała najpierw sparaliżować brytyjską żeglugę w Kanale i zburzyć porty i przybrzeżne lotniska. Nie zburzyła i nie sparaliżowała; bramy do inwazji nie otworzyła, przeszkodzili temu alianccy myśliwcy. W drugiej fazie bitwy sztab hitlerowski chciał zdusić alianckie lotnictwo RAF-u w jego gniazdach i zniszczyć lotniska broniące Londynu. Nie udało się, władzę w powietrzu zachowywali wciąż alianccy myśliwcy. W trzeciej, ostatniej fazie bitwy, we wrześniu, chodziło już o sam Londyn, o jego istnienie i jego duszę: Londyn się ostał, duszy mu nie wyrwano.

W połowie owego miesiąca nacisk Niemców doszedł do szczytu. Między 15 a 20 września zamierzali dokonać ostatecznej inwazji; więc przedtem lotnictwo niemieckie miało rzucić piekło na Anglię, sterroryzować ją i skruszyć. W dniu 15 września przypuściło dwa szturmy generalne. Miały one zadecydować o wszystkim. W każdym z nich leciało do ataku przeszło 250 maszyn o łącznej sile bojowej 400 000 koni mechanicznych i odpowiedniej potędze ognia i bomb. Anglii broniło wtedy na polu bitwy 250 myśliwców władających ogniem dwóch tysięcy ciężkich karabinów maszynowych. Broniło i obroniło. Jak obroniło — wiadomo. 185 samolotów niemieckich — przeszło jedna trzecia ich ogółu — legło w szczątkach na polach Surreyu i Kentu; drugie tyle, nic nie zdziaławszy, poharatane ratowało się ucieczką.

Niemiecka armada powietrzna poniosła klęskę: do inwazji nie doszło.

Zwycięstwo w Bitwie o Brytanię nie tylko uchroniło od zagłady całe Imperium, lecz uwolniło ludzkość od złego czaru. W tym także leży jego znaczenie: ludzie się przekonali, że hitlerowców można bić, że nie są niezwyciężeni, że ich broń, choć straszliwa, nie jest wszechwładna. W lipcu 1940 roku lotnictwo ich było jeszcze upiorem, grożącym całemu światu. Dwa miesiące później urok prysł: ludziom dobrej woli słońce zaczęło znów świecić, a chleb codzienny znów smakować.

Dokonała tego garstka alianckich myśliwców, wspaniałych, młodych, jakże młodych, mężnych, niezachwianych, prawdziwych bohaterów. Ludzi skromnych, uśmiechniętych, zdrowych i mocnych. Luftwaffe rzuciła do boju swój doskonały, najlepszy sprzęt i swych najprzedniejszych lotników. Lecz hurricany i spitfiry okazały się sprzętem jeszcze lepszym, a alianccy myśliwcy — mistrzami wobec tamtych asów.

Winston Churchill już po pierwszej fazie bitwy oddał brytyjskim myśliwcom najwyższy honor. Wyrażający się często dosadnie, wypowiedział o nich wiekopomne słowa: „Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few”³.

Rzeczywiście, mało ich było, lecz to, czego dokonali, równało się swą wagą według niektórych dziejopisarzy zwycięstwu nad Marną w pierwszej wojnie światowej.

W tym dzielnym hufcu walczyli obok brytyjskich towarzyszy także polscy myśliwcy. Ich

³ Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym.

dywizjon, stacjonujący w Northolt pod Londynem — sławny Dywizjon 303 — wszedł do bitwy w ostatniej, decydującej fazie i walczył przez 43 dni, od 30 sierpnia poprzez wrzesień do 11 października 1940 roku. Był to dywizjon o najchlubniejszej i starej tradycji, znany jako Eskadra Kościuszkowska. Obecnie, wierny Kościuszkowskiemu godłu, zadziwił świat swą bitnością i w obronie ziemi angielskiej śmiało stanął obok swych brytyjskich kolegów.

Ogółem strącił w owej bitwie 126 niemieckich samolotów, w tym 93 przez samych Polaków, 16 przez trzech brytyjskich członków dywizjonu, 17 przez czeskiego myśliwca. Dywizjon brał udział w kilkunastu ważniejszych walkach, a w kilku wyraźnie decydował o zwycięstwie dnia.

W jednym miesiącu, w krytycznym wrześniu 1940 roku, na ogólną liczbę 967 nieprzyjacielskich maszyn, zestrzelonych przez całą Royal Air Force łącznie z alianckimi lotnikami, Dywizjon 303 sam zestrzelił 108 maszyn, czyli około 11%. Wtedy w szlachetnej rywalizacji z alianckimi lotnikami, zdobył rekord zwycięstw, gdyż osiągnął ze wszystkich dywizjonów myśliwskich, walczących w Wielkiej Brytanii, najwyższą liczbę strąceń, podczas gdy następny po nim dywizjon, brytyjski, miał już tylko 48 strąceń, a więc mniej niż połowę tego, co Dywizjon 303.

Zwycięstwa swe we wrześniu 1940 roku okupił polski dywizjon śmiercią pięciu myśliwców, stratami nieproporcjonalnie niskimi, niższymi o dwie trzecie od przeciętnej strat brytyjskich w tym miesiącu.

Dzień 15 września stanie się świętem brytyjskiego myślistwa, Stanie się świętem również i polskich myśliwców walczących w Anglii, gdyż właśnie w owym dniu wyróżnili się męstwem i powodzeniem, i wspólne ich święto broni będzie chyba po wsze czasy najtrwalszym sprzęgłem przyjaźni polsko-brytyjskiej.⁴

⁴ Powyższe stowa, odzwierciedlające przekonania większości lotników polskich w Anglii w latach 1940 — 1941, niestety, nie ziściły się. Owszem, dzień 15 września stał się świętem lotnictwa brytyjskiego, lecz polscy lotnicy poszli w zapomnienie, brutalnie i bez ceremonii. W pierwszych latach po wojnie odbywały się co 15 września uroczystości lotnictwa brytyjskiego i wszystkie dzienniki i czasopisma w Wielkiej Brytanii rozpisywały się sążnście na temat Bitwy o Brytanię 1940 roku, ale o Polakach była na ogół cisza, a jeśli napomknięcie, to wstydliwie skąpe, półgębkowe albo nawet wyraźnie naciągane, jak np. w numerze z 25 września 1948 r. poważnego skądinąd czasopisma „The Sphere” w artykule o „Wspomnieniach z Bitwy o Brytanię”: ani słowa w nim o udziale polskich myśliwców w bitwie. Artykuł co prawda pochlebnie wymienia Dywizjon 303, ale zupełnie zapomina podać, że składał się głównie z Polaków, natomiast — szczyt przewrotności — wszystko, co o nich się podaje, to tylko fakt że Jeden z polskich pilotów napisał opowiadanie zatytułowane Chmura, które (autor artykułu) osobiście uważa za jedną z najlepszych nowel czasu wojny”. Cieszy mnie osobiście, że ów współpracownik „The Sphere” czytał moją książkę Sądron 303 i jeden z jej rozdziałów zaszczyca taką wzmianką (i nawet mianuje mnie pilotem), ale byłoby z jego strony uczciwiej, gdyby przy tym nie zapomniał o istotnych bohaterach ówczesnego dramatu, o polskich myśliwcach, (przyp. aut.)

MYŚLIWIEC

Rycerzem wśród wspaniałego rodu lotników jest myśliwiec, lotnik nad lotnikami; rycerskim jego zadaniem jest bronić. Bronić własnych bombowców od ataku wroga, godzącego z powietrza, i bronić własnej ziemi od nieprzyjacielskich bombowców. Czasem myśliwiec ogniem swych karabinów maszynowych atakuje nieprzyjaciela znajdującego się na ziemi — lecz czyni to rzadko. Jego wysiłek, jego zwycięstwa, jego tragedie najczęściej rozgrywają się ponad chmurami, wysoko w powietrzu, gdzie jest widok najszerszy, niebo najbliższe, a padół ziemski niewyraźny i daleki jak szary sen.

Myśliwiec broni, lecz nie zasklepia się w bierności maginockiej. Przeciwnie, broniąc rzuca się na wroga z impetem swych tysięcy koni zakutych w silnik. Myśliwiec zawsze naciera, zawsze szturmuje, zawsze się pieni. Jego walka idzie zawsze — żeby użyć porównania z innym rodzajem broni — na ostrze bagnetu.

Ów tabun tysięcy koni ponosi go jak furia i rozwija szybkość 150 do 200 metrów na sekundę. Ludziom, chodzącym po bezpiecznej ziemi, trudno sobie wyobrazić, co to znaczy i jakich to dokonuje zmian w ludzkiej istocie. Myśliwiec — na ziemi człowiek normalny jak każdy inny — w powietrzu staje się szaleńcem szybkości, człowiekiem-błyskawicą.

Żył przez ćwierć wieku na ziemi i ćwiczył się sporo lat po to, by w powietrzu rozstrzygnąć wszystko w kilku sekundach. Wszystko: śmierć zbliża się szybko i tylko błyskawiczna decyzja przeciwstawia się śmierci. O życiu decydują ułamki sekundy. Odsiecz, spóźniona o chwilę, przegrywa bitwę. Wielkie bitwy powietrzne we wrześniu 1940 roku, toczące się nad Anglią nieraz na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, nie trwały nigdy dłużej niż 10 do 15 minut. Tych 15 minut rozstrzygało nieraz o wyniku wojny i o istnieniu Imperium.

Na ziemi myśliwiec żyje tak samo jak inni ludzie, kocha, pije, śmieje się i tak samo jak inni Polacy wie, dlaczego jest zawzięty i dlaczego niszczy wroga. Lecz gdy samolot jego odrywa się od ziemi, równocześnie odpadają z myśliwca ziemskie uczucia: zawile kompleksy miłości i nienawiści pozostają na dole. W górze działa już tylko najprostszy instynkt życia i instynkt wielkiej gry. Funkcją jego jest skomplikowana tablica przyrządów, jaką myśliwiec ma przed sobą, a jedynym obiektem jest nieprzyjacielski samolot. Podczas samej walki reakcje następują tak szybko po sobie, że pilot nie jest zdolny zaobserwować ich szczegółów i później owa chwila wyda mu się mózgową próżnią, black-outem pamięci. Myśliwiec, rzekomo przypominający sobie podczas celowania do Niemca krzywdy wyrządzone Polakom, to poczciwy wymysł ludzi na ziemi. Myśliwiec może sobie przypominać krzywdy, lecz przed walką albo później, po skończonej walce.

W powietrzu powstaje nowy proces biologiczny tak fantastyczny, o jakim marzył chyba jedynie Leonardo da Vinci. Pasy, którymi przed startem przywiązują myśliwca do maszyny, są wymownym symbolem. W małej kabinie pilot nie może się ruszać i jest w niej zamknięty jak mózg w czaszce. To rzeczywiście mózg w czaszce metalowego ptaka.

W miarę wzbijania się w górę następuje cudowna przemiana. Człowiek dosłownie wrasta w maszynę, zespała się z nią w jedno żywe ciało. Jest to już nowy stwór, na poły ludzki, na poły mechaniczny. Wrażliwsi myśliwcy wyraźnie odczuwają, że nerwy ich sięgają do końca

skrzydeł samolotu. Czują je tam zupełnie namacalnie i zmysłowo, a gdy przeciwnik rozpląta im skrzydło, doznają wstrząsu, jak gdyby zraniono im własne członki.

Silnik jest olbrzymim sercem myśliwca, który jakby nie miał już swego własnego serca. Życie myśliwca jest związane z owym wielkim sercem, a jeśli ono przestanie działać, następuje katastrofa.

Wzrok jest w powietrzu najważniejszym zmysłem, od którego zależy spostrzegawczość, szybkość decyzji, trafność pocisków i ostateczny wynik walki. Wielu myśliwców doznaje w niektórych chwilach dziwnego wrażenia, jakoby oczy ich rosły, potężniały i w końcu dochodziły do rozmiarów samego człowieka, który jako taki przestaje właściwie istnieć i zamienia się w jedno wielkie oko. Nic w tym dziwnego: oko-olbrzym musi nie tylko służyć człowiekowi, lecz całej olbrzymiej maszynie. Musi być wielkie i wydajne.

Integralny związek człowieka z maszyną występuje najdobitniej w chwili strzelania do przeciwnika. Jest to chwila kulminacyjna, dla której myśliwiec w ogóle istnieje; jego życiowy szczyt. Wszyscy niemal myśliwcy zgodnie stwierdzają, że w strzelaniu biorą udział nie tylko oko i kciuk, naciskający spust, lecz również reszta ciała. Wszystkie części ciała, czynne w pilotażu, celują i strzelają. Wrażenie to tłumaczą sobie lotnicy konstrukcją myśliwskich maszyn: karabiny są wmontowane na stałe w skrzydłach i myśliwiec sobą i całym samolotem kieruje ogień na cel.

Pociski, wypadające z obydwóch skrzydeł widzialnymi strugami, są wtedy jak drapieżne pazury. Przeszywają wroga i szarpią jego ciało. Są żywym narzędziem napiętej woli zwycięstwa. A napięcie bywa często tak przejmujące, że myśliwiec nawet w owych pociskach czuje swoje nerwy, jakby to były jego rzeczywiste ręce rozdzierające nieprzyjaciela.

Świetne zwycięstwa polskich myśliwców we wrześniu 1940 roku były dla świata istną rewelacją i wielu starało się dociec ich przyczyny. Było kilka przyczyn, wśród których trzy wydają się najważniejsze: przewaga wzroku, przewagą polskiej taktyki bojowej i przewaga zawziętości.

Polacy mieli przeważnie lepsze oczy niż ich brytyjscy koledzy. Były to naprawdę sokołe oczy, którymi widzieli i dalej, i szybciej — jakaś szczególna właściwość polskich lotników. Do tego dołączała się wielka spostrzegawczość, jakby wrodzony instynkt wypatrywania, dzięki czemu Polacy oceniali sytuację szybciej i trafniej niż brytyjscy myśliwcy.

Taktyka bojowa polskich myśliwców polegała na tym, aby nie ciaćkać się długo z przeciwnikiem, lecz po wypatrzeniu dogodnego momentu uderzyć jak huragan, dopaść jak najniżej, nieledwie dobrać się do samego ciała i z odległości kilkudziesięciu zaledwie metrów prażyć zabójczym ogniem swych ośmiu karabinów maszynowych. Ludzie postronni uważali z początku takie zbliżanie się do przeciwnika za zbyt dużą brawurę szaleńców, dopóki się nie przekonali, że „szaleńcy” mieli znacznie więcej zestrzeleń i — rzecz zdumiewająca — znacznie mniej strat własnych.

W każdym polskim lotniku tkwiła mniej lub więcej fantazja lisowczyka, zagończyka, ułana. Cecha ta, jak widać, przydaje się znakomicie nawet pięć kilometrów ponad ziemią, gdzie Polacy z powodzeniem wykonywali kawaleryjskie szarże, tylko że nie ponosił ich tam jeden, lecz tysiąc koni. Rozbicie w piątkę całej olbrzymiej wyprawy niemieckich bombowców w dniu 15 września 1940 roku było czynem równie bohaterskim jak Somosierra, natomiast miało głębsze podłoże moralne i Polakom przynosiło czystsza chwałę niż ówczesna awantura hiszpańska.

Trzecim źródłem zwycięstw polskich myśliwców była ich zawziętość. Czytaj historię udręki Narodu od września 1939 roku, a zrozumiesz zawziętość polskiego myśliwca!

PIERWSZA WALKA

Ostatni dzień sierpnia 1940 roku. Godzina 18. Dywizjon myśliwski 303 był w powietrzu. Patrolował okolice Londynu. Dziś był ostatni jego lot szkolny. Jutro dywizjon ma wejść nareszcie na stół operacyjny, by wziąć udział w Bitwie o Brytanię. Bitwie toczącej się w powietrzu od trzech tygodni. Od trzech tygodni myśliwcy czekali z niecierpliwością.

Na olbrzymim niebieskim niebie świeciło czerwone słońce podwieczorne. Jego ukośne promienie złociły ziemię i Anglię z wysokości 7000 metrów wyglądała jak wysniona kraina ciszy i pogody. Piękna, sierpniowa Anglia! Polscy myśliwcy poddawali się jej urokowi i — marzyli o walce.

Dywizjonem dowodził major Ronald Kellet. Anglik niezwykle: niski, grubawy, z pozornie jowialnym wyrazem twarzy. Szczęśliwy myśliwiec, który we Francji zestrzelił podobno siedmiu Niemców, lecz dziś — dowódca w kłopotach. Miał troskę: nie dowierzał bojowej wartości polskich myśliwców. Nie znał ich! Od kilku zaledwie tygodni był ich angielskim dowódcą obok dowódcy-Polaka. Miał nimi dowodzić w ich pierwszych walkach nad Anglią. Czy Polacy sprostają zadaniu? Walczyli już podobno w Polsce i we Francji. Owszem, to nawet morowe chłopaki, lecz równocześnie major się dziwił i żymał, że tym obcym i nieznanym myśliwcom głębi Europy powierzono — zapewne z nadmiernej kurtuazji sojuszniczej — jedną z najważniejszych placówek bojowych, na której ronić im wypadnie już nie tylko decydującego odcinka bitwy powietrznej, lecz znacznie więcej: samej stolicy brytyjskiego świata, samego serca Imperium — Londynu. Czyż nie za wiele ufności?

Londyn rozpościerał się tam na dole, z boku, potężną, szarą plamą. Nawet gdy świeciło jaskrawe słońce, nad Londynem unosiła się zawsze mglista zasłona. Z tej pomroki wytykały swe pulchne cielska różowe od słońca balony zaporowe. Major nie odczuwał dziś powabu angielskich pól; patrzył tylko na Londyn i niepokoił się. O dzień jutrzejszy, o następne dni...

Godzina 16 minut dwanaście. Nagle jakiś głos w słuchawkach radiowych. Rozkaz z ziemi:

— Dywizjon 303, eskadra A — kurs: 90 stopni! Cóż to? Nowy, niespodziewany manewr? Sześć samolotów odrywa się od dywizjonu i pod dowództwem majora Kellera leci w wyznaczonym kierunku, na wschód.

Po chwili nowy rozkaz radiolokacji: kurs 100 stopni! Brzmiało to dziwnie, jakby zapowiedź niezłej przygody. Pięciu polskich myśliwców ogarnęło radosne wzruszenie. A nuż się zacznie? ...

— Kurs: 140 stopni! — wkrótce nakazywała stacja radarowa. Nie było już wątpliwości, że to wyraźne naprowadzanie. Czyżby na nieprzyjaciela?

Tak, na nieprzyjaciela. Po paru minutach lotu myśliwcy dostrzegli go daleko przed sobą, nieco z lewej strony. Wyraźnie było widać zgrupowanie bombowców. Leciały w stronę Francji, zapewne już po wykonaniu zadania, nawet jak gdyby po walce: niektóre maszyny dymiały. Nad nimi, nieco w tyle, szła jak zwykle, osłona, kilkanaście messerschmittów, niemieckich myśliwców, rozbitych w luźnym szyku.

Polska eskadra bez namysłu zdecydowała się na atak. Była w pozycji dogodnej, od strony słońca. Dodała gazu. Bombowcom, idącym z ukosa, zamierzała przeciąć drogę jeszcze nad

Anglią. Myśliwcy płonęli zapalem. Nareszcie! Nareszcie dobiórą się do wroga.

Dobrali się, lecz nie tak, jak myśleli. Do bombowców nie dotarli. Byli od nich oddaleni jeszcze o dobre trzy kilometry, gdy nagle przed nosem eskadry, zaledwie pięćset metrów od niej, wykwit! zupełnie niespodziewanie klucz messerschmittów 109. Trzech maruderów niemieckiej wyprawy. Nie zauważyli polskiej eskadry cudacznym zbiegiem okoliczności: wykonując właśnie szeroki skręt, mieli eskadrę pod sobą i za skrzydłem, a poza tym mieli ją wprost pod oślepiające słońce.

Susem raptownym dopadł do nich z tyłu klucz majora Kelleta. Anglik miał obok siebie sierżantów Eugeniusza Szaposznikowa i Stefana Karubina. Trójka wlaźła tamtej trójce na ogony, każdy wziął swego. Zaskoczeni nic nie przeczuwali. Z odległości stu metrów pierwszy Kellet otworzył ogień i w oka mgnieniu zapalił środkowego messerschmitta, gotując eskadrze wspaniałe widowisko. Trafiony samolot wybuchł i ciągnął za sobą, jak lisią kity, ogromną pochodnię.

Na to dwa boczne messerschmitty, ratując się piorunującym wywrotem, znurkowały. Lecz równie piorunująco zaatakowali je sierżanci. Nurkowali tak samo. Jak kleszcze trzymali się wroga. Nie popuścili. Szaposznikow — w fantastycznym położeniu, bo prawie głową na dół — precyzyjnie odmierzył poprawkę, spokojnie wycelował pod kadłub przeciwnika i kazał mu przejść przez smugę pocisków. Gęstą serią wyprał mu jak gdyby bebechy z żywego ciała: śmiertelne strzały.

Tymczasem Karabin nurkując trzymał się wciąż ponad messerschmittem. Nie strzelał. Czekał. Czuwał. Gdy wreszcie tamten zaczynał maszynę wyciągać z nurkowania, sierżant jak sęp wsiadł mu dosłownie na kark. Z bezpośredniej bliskości trzy krótkie serie w silnik i w grzbiet kabiny — i wróg, dymiąc konwulsyjnie, staczał się ku ziemi.

Walka i zniesienie nieprzyjacielskiego klucza odbyły się w błyskawicznym tempie, znacznie szybciej niż słowa opisu. Trwało to tylko sekundy. Lecz w tych sekundach za plecami zwycięskiej trójki rozgrywał się dragi dramat i major Kellet nie przeczuwał, że życie jego wisiało na włosku.

Mianowicie w chwili, gdy jego klucz atakował trzech przeciwników, nagle z tyłu, z góry, zleciały im na pomoc trzy nowe messerschmitty. Już z daleka sypały seriami pocisków, by odstraszyć atakujących. Nie odstraszyły. Było zresztą już za późno; pierwsze trzy messerschmitty otrzymały właśnie śmiertelne ciosy.

Odsiecz w swym zaciętrzewieniu popełniła kardynalny błąd: zlekceważyła sobie dwóch polskich myśliwców, ubezpieczających z tyłu eskadrę. Po prostu jak gdyby ich nie było, śmignęła tuż obok nich, zamajaczyła im czarnymi krzyżami na bokach kadłubów i rwała naprzód ku miejscu walki. Za nią, na pełnym „booście”, runęła w pościgu polska osłona: porucznik Mirosław Ferić i sierżant Wünsche, boczni drugiego klucza. W tej szalonej gonitwie powstała zawiła przeplatanka: najpierw leciały trzy messerschmitty, już palące się; za nimi klucz majora Kelleta; za nimi trzy dalsze messerschmitty, za nimi dwóch Polaków. Odsiecz przeciwnika już dochodziła do Kelleta i Szaposznikowa na odległość skutecznego ognia, gdy dwaj polscy myśliwcy ją dogonili. Ferić wziął na cel prawoskrzydłowego, Wünsche lewoskrzydłowego. Obydwaj prawie równocześnie strzelili i obydwoj prawie z jednakim wynikiem: dwa messerschmitty, śmiertelnie ugodzone, waliły na dół. Jeden buchając czarnym dymem, drugi paląc się wielkim płomieniem. Trzeci z nich, nie atakowany, zawieruszył się i czmychnął.

Zwycięstwo kompletne! Pięć palących się messerschmittów spadało ku ziemi. Jak strącone komety, złowróżbne dla wroga. Istny pogrom. Z dwóch samolotów wyskoczyli piloci na spadochronach, reszta zginęła w ogniu i w gruzach. Zwycięstwo tym znamiennejsze, że przyszło tak gładko, tak bezpośrednio, bez wysiłku. I że była to walka

zespołowa w najlepszej formie. Była to czysta gra.

I oszałamiająca. Polskim myśliwcom otworzyły się oczy. Toż to rewelacja: hurricane! Zobaczyli, jakie to niezrównane narzędzie w ręku wytrawnych pilotów. Jego osiem karabinów maszynowych to nieprawdopodobna, miazdząca potęga ognia.

Wszyscy myśliwcy, z wyjątkiem jednego, doszli do strzału, ów szósty myśliwiec, porucznik Zdzisław Henneberg, dowódca drugiego klucza, miał również zwycięską przygodę, jeno w chwilę później. Widząc przed sobą klęskę nieprzyjacielskiej trójki, a nieświadom tego, co się działo za nim i że tam jego boczni związali się w walkę, pokiwał na nich skrzydłami na znak, by poszli za nim i skierował się w stronę, gdzie spostrzegł cztery sylwetki nowych messerschmittów. Przeciwnicy byli oddaleni o 2000 metrów i dziwnie zdenerwowani. Wszyscy czterej wykonywali ubezpieczające esy. Henneberg łatwo ich dogonił, lecz wówczas przekonał się z osłupieniem, że jest sam, bez pomocy.

Nie cofnął się. Było nie było, postanowił i on zdobyć swego „Adolfka”. Wyga doświadczony, nie rzucił się na oślep do ataku, na samobójstwo. Zajął dogodnie stanowisko, kilkaset metrów z góry i z tyłu za czwórka. Tak postępował za nią i czyhał niecierpliwie, miła w miłę. Wilk pędzący chyłkiem za stadem.

Przelecieli większą część Kentu i zbliżali się do Kanalu. Z boku był Dover. Messerschmitty, choć w przewadze, nie okazywały wcale ochoty do walki. Uciekały raczej w popłochu. W pewnym momencie powstało między nimi jakieś zamieszanie i jeden z nich odskoczył o kilkaset metrów od reszty.

Henneberg jak gdyby na to czekał. Na pełnym gazie rzucił się z góry w powstałą lukę. Zanim niemiecki samolot zdołał wrócić do swej grupy, Henneberg dopadł go z boku i wpakował mu dwie krótkie serie. Czarny krzyż ostro skręcił i znurkował. Henneberg za nim. Jeszcze dwie krótkie serie. Messerschmitt zakopcił. Byli już nad brzegiem morza. I jeszcze jedna seria. Samolot wciąż spadał kamieniem. Nagle straszliwa fontanna wody i potem długi, biały ślad pod powierzchnią, jakby gigantycznej torpedy. Ślad sunął coraz głębiej, coraz bardziej się zanurzał, zlewał z otoczeniem i w końcu messerschmitt znikł zupełnie z oczu.

Na lotnisku nieopisana radość. Piloci, mechanicy i w ogóle cała obsługa, wszyscy się domyślali, wszyscy już wiedzieli. Wylegli na dwór. Hurricane wracały jeden za drugim i każdy zwyczajem myśliwców robił przed lądowaniem beczkę na znak swego zwycięstwa. Podnieceniu nie było końca.

Po piątym hurricane przerwa. Minęło dziesięć minut, minął kwadrans. Brak szóstego myśliwca. Niepokój! Lotnicy daremnie śledzili niebo. Najbardziej niepokoił się kapitan Witold Żyborski, adiutant dywizjonu, najtroskliwszy „tata” i dobry duch całej tej czerydy.

Wtem na niebie punkcik. Rośnie. Leci szósty! Porucznik Henneberg, cały i zdrow. On także nie gorszy: miał szóstego messerschmitta. Więc podczas gdy nad głowami kolegów wykrecał triumfalną, zamaszystą beczkę, w oczach „taty” zakrecała się ukradkiem łza. Z radości i z dumy. I z przeczucia, że nadchodziły ich wielkie, ważne dni czynu i chwały.

W sprawach osobistych Anglicy często umieją zdobyć się na uczciwość. Po prawdzie major Kellet nie bardzo lubił Polaków i miał im za złe to i owo, lecz w tej chwili, obezwładniony cudacznym wzruszeniem, zaczął nawet ścisnąć dłonie myśliwców. Mimo woli musiał przyznać im rację, chociaż nie bez lekkiej zazdrości: to myśliwcy przedniej klasy! Dziwił się, że umieli tak walczyć w karnym zespole, umieli także i z samego gniazda szerszeni porywać z zuchwałą fantazją ofiarę.

„I am delighted” (Jestem zachwycony) — telegrafował do Polaków tego dnia angielski generał, dowódca brytyjskiego lotnictwa.

A w kilka dni później, po nowych wyczynach, powtórzyła to samo za nim cała Brytania, zdumiona i zachwycona, a w dwa tygodnie później — cały świat.

Dywizjon 303 zwycięskim lotem wystartował do Bitwy o Brytanię.

KOLEŻEŃSKOŚĆ

Dover, przyczółek Wielkiej Brytanii, był kątem szczególnie doniosłym. Ziemia tam ważna i niebo ważne. Na niebie, niby stada pasących się owiec, wydymały się pulchne balony zaporowe. Śmieszne i nieporadne, lecz groźne i złe: śmiałek z powietrza mógł zaplatać się w ich linach i spaść na śmierć. Dla swoich to niewinne baranki; dla wroga — ciernie w oku. Więc wróg nienawidził tych balonów i uparcie na nie polował.

Szedł cały dywizjon messerschmittów od południowego zachodu, od strony Hastings. Klucze, kryjąc się wśród rzadkich chmur, ukradkiem jak złodzieje zbliżały się wzdłuż brzegu do Dovru. Chciały zaskoczyć. Lecz zanim mogły pomyśleć o nurkowaniu na balony, same zaskoczone ujrzały przed sobą brytyjskich myśliwców. Byli to Polacy z Dywizjonu 303. Był dzień 2 września.

Nastąpiła walka kołowa, jakiej Dover jeszcze nie widział. Przeszło dwadzieścia maszyn zataczało to koła, to elipsy, to wywroty, to loopingi, i w tej szalonej kotłowaniu było tyle niesamowitego wdzięku, że patrzącym z dołu walka wydawała się raczej płasem, raczej turniejem średniowiecznym aniżeli rzeczywistością wojny totalnej.

Messerschmitty długo nie wytrwały. Nikogo jeszcze nie zestrzelono, lecz Polacy na zwrotniejszych hurricanach coraz widoczniej nabierali przewagi i coraz łatwiej dopadali do ogonów przeciwnika. Ten i ów messerschmitt, zbyt gorąco przypierany, zaczął dawać nura i wyrwawszy się ze zgiełku pędził nad Kanał ku Francji. Coraz puściej robiło się nad Dovrem, aż w końcu w powietrzu pozostały po samolotach tylko same białe smugi, niby cienkie, długie ogony uciekających. Goniłwa przeniosła się nad Kanał. Messerschmitty mknęły jak spłoszone jelenie, ścigane zapamiętałe przez hurricany.

Polski dywizjon wykonał swe zadanie, przepędził wroga znad Dovru.

Jednym z goniących był porucznik Ferić. Dwa dni temu odniósł świetne i tak łatwe zwycięstwo, więc dziś się uparł, że zdobędzie drugiego „Adolfka”. Messerschmitt, którego sobie upatrzył, czuł widocznie pismo nosem. Wiercił się niespokojnie, wykonywał uniki zupełnie zbyteczne, po prostu nie trzymał w garści nerwów. Pozwoliło to Ferićowi, po wpakowaniu w silnik pełnego gazu, przybliżyć się do uciekającego na przyzwrotną odległość. Z trzystu metrów wyrznął do niego serię pocisków.

Reakcja była niespodziewana i Fericia aż zatkało ze zdumienia: przeciwnik zwałił się na skrzydło i wykręcił najprawidłowszą beczkę, po czym leciał sobie dalej po prostej linii. Błazeński, teatralny gest, potrzebny mu w tej chwili jak umarłemu kadzidło.

Żółtodziób! — pomyślał Ferić i postanowił przeciwnika wykończyć jak najszybciej.

Było pilno. Przed nimi, na dole, widniał coraz wyraźniej brzeg francuski, najeżony tu zjadliwą obroną przeciwlotniczą.

Wskutek beczki messerschmitt stracił dalsze sto metrów w wyścigu. Ferić patrzył na niego przez celownik i przyjemnie było patrzeć: w samym środku czerwonego kręgu tkwił olbrzymi kadłub nieprzyjacielskiego samolotu, szary jak dziki gołąb i jak gołąb bezbronny.

Pociski drugiej serii poszły wprost na niego. Messerschmitt ostro znurkował. Ferić pika rzucił się za nim. Lecz nagle, ku jego przerażeniu, stało się coś straszego: ciemno w kabinie.

Zakryła ją tajemnicza zasłona. Jakiś płyn trysnął z silnika i oblał z zewnątrz szyby. Po ciemnozielonej barwie Ferić natychmiast poznał, że to oliwa. Włosy zjeżyły mu się na głowie: pękły przewody z oliwą.

Oczywiście myśliwiec od razu zaniechał pogoni, wyciągnął samolot z nurkowania i zawrócił ku Anglii. Nie mógł dobić przeciwnika, ale o tym już nie myślał; bliższa mu była własna skóra. Otworzył kabinę i chustką nieco przetarł szybę przeciwpancerną. Stało się widniej. Wtem nowy dreszcz. Z rur wydechowych zaczęły buchać gęste kłęby dymu. Wyglądało to, jak gdyby maszyna lada chwila miała stanąć w płomieniach. Ferić odpiął na wszelki wypadek pasy, by móc łatwiej wyskoczyć. Czekał i ze zgrozą spozierał na dół, gdzie skoczy: morze wyglądało jak ponura płyta ołowiu. Myśliwcy nigdy nie lubili morza, lecz teraz Fericiowi wydało się ono uosobieniem piekła.

Ogień nie wybuchł, lecz stała się rzecz równie katastrofalna: bez dopływu oliwy silnik zatarł się i zaczął trząść tak gwałtownie, jak gdyby to była jazda po twardej grudzie. Ferić pośpiesznie wyłączył benzynę. Silnik przestał pracować. Samolot, zdany już tylko na własne skrzydła, szedł dalej lotem ślizgowym. Była to jego ostatnia możliwość ratunku.

Wysokości miał blisko 20 000 stóp, a do Anglii było 25 kilometrów. Czy się doślizga? Samolot był już tylko wielocetnarową masą metalu, spadającą powoli z góry, bezwładną, a posłuszną złowieszczej woli, prawu przyciągania ziemi. Więc czy dociągnie?

Lecz to był kłopot mniejszy. Ferić miał inną udrękę, gorszą. Miał stracha: był zupełnie bezbronny. Owego dnia, drugiego września, nad Anglią toczyły się walki w całej pełni. Tędy musiały wracać messerschmitty. Ferić, lecący powoli jak żółw, z dymiącą maszyną, niezdolną do manewru, bezbronny Ferić rzucał się w oczy każdemu w obrębie kilkunastu kilometrów i pierwszy lepszy pędrak mógł go zatłuc jak wróbla w klatce.

Ferić miał duszę na ramieniu. Miał wrażenie, że mu połamano ręce i nogi. Nie był już dumnym myśliwcem, gotowym wyzwąć do boju cały świat, był nędznym robakiem. Był żołnierzem bez broni.

Już go wykryli! Widział przez zapapraną szybę, że z boku jakiś samolot sunął prosto na niego. Był pięćset metrów, już trzysta, już powinien był strzelać. Ferić wytrzeszczał w jego stronę oczy, jakby wzrokiem chciał go odeprzeć. Lecz przybysz nie strzelał. Przeciwnie, był to przyjaciel, podporucznik Łokuciewski. Z daleka dostrzegł biedę hurricana i przyleciał na pomoc. Poznał Fericia. Dał mu znak ręką, że pozostanie w pobliżu i będzie czuwał.

Po chwili dołączył się do nich drugi hurricane i był to również swój, z polskiego dywizjonu, porucznik Ludwik Paszkiewicz. Gdy Paszkiewicz zauważył dziwny pochód, przerwał pościg za wrogiem i przybył. Obok Fericia leciało ich teraz dwóch.

Oślaniali go. Wiedzieli, że narażą się na największe niebezpieczeństwo w razie ataku liczniejszego przeciwnika, bo nie będą uciekali. W obronie towarzysza gotowi byli zginąć i nie mieli co do tego żadnej wątpliwości: pozostaną przy nim.

Na dole, w oparach ziemi, sprawy życia i śmierci były zawiłym, męczącym, często nierozwiązalnym zagadnieniem. Na wysokości siedmiu tysięcy metrów sprawy życia, śmierci i poczucia obowiązku układały się w prosty, wyrazisty sposób, tak samo jak wyrazistsze było słońce tu niż na dole.

Ferić doznał odprężenia nerwów. Minęła najgorsza chwila i mógł teraz spokojnie zająć się maszyną. Kłęby dymu na szczęście znikły. Myśliwiec skupił całą uwagę na pilotażu i pilnował, by w ślizgu wyzyskać jak najoszczędniej nośność skrzydeł. Wszystkich trzech niepokoiła jedna i ta sama myśl: czy Ferić dobrnie do Anglii, czy też wpadnie do morza?

Minęli już środek Kanału. Anglię widzieli coraz lepiej, chociaż brzeg zbliżał się okropnie powoli. Niespokojny wzrok wracał wciąż do tablicy wysokościomierza. Wskazówka chyliła

się bezustannie, z nieugiętą, okrutną cierpliwością. Bezduszny zegar jak gdyby pisał na człowieka wyrok: 8000 stóp wysokości, 7500, 7200...

Wtem ubezpieczający myśliwcy ujrzeli daleko przed sobą dwa samoloty. Szły im naprzeciw, w kierunku Francji, nieco z boku i znacznie wyżej. Po kształcie poznali je niezwłocznie; dwa messerschmitty 109. Niemcy zauważyli ich również. Widocznie zaintrygowani nieruchawym lotem zwęszyli łatwy łup, skręcili z drogi i wzięli kurs na trójkę Polaków.

Paszkiwicz i Łokuciewski przygotowali się do walki. Wzbili się w górę i poczęli zataczać czujne kręgi wysoko nad samolotem Fericia.

Messerschmitty okrążyły trójkę, weszły na jej tyły i mając wielką przewagę wysokości, postępowały za nią. Przez chwilę się wahały, co począć. Potem na nowo podjęły okrążający manewr i znalazły się dokładnie od strony słońca. Zajęły postawę do ataku.

Dwaj polscy myśliwcy, latając bez przerwy nad Fericiem, nie spuszczaali przeciwnika z oczu. W ich spokojnym krążeniu przebijało twarde postanowienie. Pierścienie, jakimi kryli przyjaciela, miały chyba magiczne zaklęcie. Wróg zaczął rozumieć, że zanim osiągnie bezbronnego, natrafi na szpony.

Messerschmitty zwlekały. Zbliżyły się jeszcze bardziej, na wpi & éset metrów, lecz wciąż odraczały atak. Obserwowały wnikliwie i chciały widocznie wypatrzeć słaby punkt obrony. Płynęły sekundy, brzemienne jak wiek. Niemcy zbyt długo czekali. Minęła ich chwila: zwątpili.

Przegrali decyzję. Nagle skręcili i spokojnie lecieli dalej do Francji...

Wysokościomierz był nieubłagany: 5000 stóp wysokości, 4500, 4000... Jeszcze sześć kilometrów, jeszcze pięć. Brzeg był coraz wyraźniejszy. 3500 stóp wysokości, 3000... Jakiś przejmujący wyścig między dwoma współzawodnikami, odległością i wysokością. Która strona zwycięży? Morze podnosiło się coraz wyżej, widać już było poszczególne fale, lecz równocześnie widać też domki na brzegu. Jeszcze kilka minut i jakby zwycięstwo przechylało się na stronę skrzydeł. Tak, przechylało się. Tak, skrzydła wygrywały, dobre, pocziwe skrzydła, wierne człowiekowi.

Właśnie samolot przelatywał linię brzegu: 900 stóp wysokości. Wygrał. Ocalił ludzkie życie. Myśliwcy odetchnęli z ulgą i gorące uczucie wdzięczności zalało im serca. Nie mogli milczeć. Pal sześć wszystkie regulaminy służbowe.

— Halo, haloo! — wołał Ferić ochrypłym nieco głosem do mikrofonu, a gdy przyjaciele się odezwali, rzekł wzruszony: Dziękuję wam! ...

Lecz tamci bronili się żartobliwym uśmiechem. Łokuciewski odpowiedział:

— Całuj psa w nos! Czy stawiasz dziś whisky?

— Chociażby dwie! ...

— Za mało: trzy!! ...

I podczas gdy ubijali swe whiskowe targi, porucznik Ferić szukał wzrokiem pola do przymusowego lądowania.

Wysoko w górze, w powietrzu, sprawy życia, śmierci i poczucie obowiązku układały się w prosty, wyrazisty sposób. Były to trzy żelazne, niezłomne potęgi. A jednak czasem na ich twardym podłożu wyrastał miękki, cenny kwiat: koleżeństwo. Kwiat cenny i dziwny, bo gdy raz wykiełkował i wyrósł, zdolny był potem przetrwać szorstkie wichry i znieść najcięższe burze przez długie lata.

A GDY KUL ZABRAKŁO...

Zawziętość jest bronią równie zabójczą jak karabin. Żołnierz zawziętszy — zawsze zwycięża. Zwycięża, bo jego wola jest sprężystsza, jego ramię wytrwalsze, jego wzrok przenikliwszy, jego pociski trafniejsze.

Nie było w tej wojnie myśliwców zawziętszych niż Polacy.

Oto mały, chłopięcy sierżant Stefan Karubin. Wyglądał na dwudziestoletniego, był trochę starszy. Okrągła twarz skora do uśmiechu, lecz oczy harde, żarliwe, zacępne, czarne.

Owego dnia gonił ze swym Dywizjonem 303 nad ujściem Tamizy wyprawę nieprzyjacielskich bombowców. Inni dogonili, on nie dogonił: kilkunastu niemieckich myśliwców zaatakowało po drodze jego klucz. Karubin wywrotem poszedł w dół i umknął im, lecz przy tym stracił łączność z dywizjonem.

Niżej nawinał mu się na celownik samotny messerschmitt. Pierwsza seria pocisków przeszła obok niego bez wyniku. Pojedynek. Gwałtowne krążenie, przerzucanie się przez plecy, dzięki większej zwrotności Polaka — wejście tamtemu na ogon, długa seria, zwycięstwo! Messerschmitt zaczął spadać do ziemi z olbrzymim warkoczem dymu.

Całą walkę stoczył młody myśliwiec na zimno, bez wzruszenia, prawie bez zastanowienia. Nie jak człowiek z krwi i z nerwów, lecz jak aparat ze stali. Sprawne, doskonale narzędzie zaprawione do boju w dobrej szkole.

Krew i nerwy, i człowiek, i szewska pasja zbudziły się w nim dopiero w chwilę później. Karubin wciąż jeszcze patrzył z zadowoleniem na agonię wroga — widok najmilszy dla oczu myśliwca — gdy piorun trzasnął z jasnego nieba; zdradliwe smugi pocisków zawirowały nad jego głową. Nowy przeciwnik. Nieoczekiwany atak wyrwał zwycięzcę z „sielanki” i chociaż myśliwiec ostrym skretem uszedł niebezpieczeństwa, zatrzęsł się z przerażenia, i z oburzenia.

— A cholera ciebie! ... — warknął jak zły pies, gdy messerschmitt tuż obok niego szurnał w dół błyskawicą. A za nim, w pewnej odległości, dwa ścigające go hurricany. Sierżant, nie namyślając się, również dał nura i poszedł ich śladem.

Zeszli nad samą rzekę do lotu koszącego. Najpierw messerschmitt, potem dwa hurricany, potem Karubin. Minęli białe domki Gravesendu, wypłukane przez morskie wiatry, i lecieli jak potworne mewy — obok mew prawdziwych, obok zielonych łąk i szarych żagli. Tysiący żagli i rybackich statków.

Mijali najosobliwsze ustronie Anglii: ujście Tamizy. Opary londyńskie, zabarwiające popołudniowe słońce na różowo i na żółto, stwarzają tu, na pograniczu wody i lądu, niezwykłą grę światła. Urok tych blasków i bujne piękno masztów urzekło od pokoleń angielskich malarzy. Przybywali tutaj jak do swego sanktuarium. Tu czerpał natchnienie sam Turner.

Dziś grzmot ośmiu silników jak ryk z czeluści piekielnych szarpał nadrzeczną ciszę i głuszył wszystko, co żyło nad wodą. Jakiś przejmujący symbol dnia dzisiejszego, symbol w swym składzie szczególnie wymowny: leciał hitlerowiec, dwóch Brytyjczyków i Polak. Burząc odwiecznego ducha Tamizy, czterech myśliwców było tylko drobną częścią upiornej maszyny. Dziwnej maszyny: wstrząsającej w posiadach całym światem i porywającej w swe

tryby wszystkie narody, a przecież mającej tutaj odpowiedzieć tylko na jedno pytanie pozornie tak proste: czy wśród mgieł ujścia Tamizy nadal będzie unosiło się angielskie natchnienie...

Uciekający messerschmitt opuścił rzekę skrętem w prawo, wpadł nad rozległe łąki i lotem południowo-wschodnim przecinał hrabstwo Kentu, biorąc najbliższą drogę ku Francji. Karubinowi nie podobał się pościg: „Adolfek” rwał szybko i gotów był uciec. Dwa hurricany jakoś nie mogły go dogonić i pozostawały wciąż daleko za nim.

Myśliwiec włączył „boosta”. Maszyna zawyla jakby biczem podcięta i gwałtownie skoczyła do przodu. Karubin odczuł rozkosz jeźdźca wbijającego ostrogi w bok rumaka. Naraz zrobiło mu się wesoło na duszy i ni stąd, ni zowąd zaczął nucić pod nosem:

Jak to na wojence ładnie,

Kiedy ulan...

Hucząc na najpełniejszym gazie, dopędził łatwo dwa hurricany, wyminął je, prześcignął. Koło Rochestera zaczął zbliżać się do messerschmitta. Był wtedy 500 metrów za nim. Wciąż w locie koszącym, blisko ziemi. Czarny krzyż rósł w oczach. Sierżanta rozparła nagle żołnierska czułość do swej maszyny: cudo maszyna! Rżnie jak sto piorunów!

Już tylko 300 metrów. Karubin sprawdził ostatni raz szybkim spojrzeniem spust karabinów maszynowych. Był odbezpieczony. Nie naciskając, kciukiem przejechał po nim delikatnie, pieszczotliwie. Lecz jednocześnie ów kciuk był jak szpon drapieżnej bestii... Mógłby już prawie strzelać! Messerschmitt leciał po prostej linii — łatwy cel! ... Ale strzelać ani mu się nie śniło! Bliżej! Bliżej! Karubin miał czas, wróg mu nie umknie!

150 metrów, 100, 70... Dosyć! Myśliwiec wyłączył „boosta”. Wziął na cel i strzelił. Dokładnie z tyłu, wprost poprzez ogon messerschmitta. Do licha! Nie widać skutku! Tamten jak uciekał, tak ucieka.

Karubin, nie zbity z tropu, nieznacznie skręcił i dragą serię posłał z ukosa, w bok przeciwnika, tam gdzie był on najwrażliwszy na pociski. I dobrze zrobił! Przeszył jakąś żywotną arterię. Z messerschmitta poszła cienka smuga dymu. Jak cienka struga krwi ze zranionego zwierza.

Nie, to nie była żywotna arteria! Messerschmitt nie wybuchł ogniem, a dymu sączyło się coraz mniej. Przeciwnik mknął wciąż na nie zmniejszonej szybkości. Myśliwiec zacisnął szczęki, jeszcze bardziej zbliżył się do wroga, deptał mu już prawie po piętach. Wycelował — i sam o włos nie zginął w katastrofie.

Zapatrzony w celownik, nie widział, że messerschmitt skierował się prosto na drzewo. Niemiec w ostatniej chwili przeskoczył wierzchołek, natomiast Karubin nieledwie nie wpadł na drzewo. Poderwał maszynę. Gałęzie uderzyły o spód kadłuba, lecz szkody na szczęście nie wyrządziły. Samolot mknął dalej cały. Jeno Karubin oblał się potem.

Przeklęta jucha! — pomyślał o chytrym wrogu.

Z bezlitosnej odległości, bodaj czy pięćdziesięciu metrów za messerschmittem, otworzył ogień po raz trzeci. Lecz opisać jego zdumienie i srogi zawód, prawie że ból, gdy padło tylko kilkanaście pocisków i potem karabiny smętnie zamilkły. Koniec amunicji. A tamten wciąż leciał i leciał. Paskudny kawał! Chociaż myśliwiec sobie uświadamiał, że nic w tym dziwnego. To przecież drugi przeciwnik, do którego dziś strzelał.

Odszedł w bok i zrobił miejsce dwom hurricanom do ataku. Lecz rzut oka w tył przekonał go, że ich pościg był beznadziejny. Zbyt daleko pozostały w tyle. Nie dociągną.

A tu, na ziemi, jakieś miasteczko. Jakieś szare mury opactwa: chyba Canterbury. Już Canterbury! Do morza zaledwie trzy, cztery minuty. A messerschmitt wciąż wyrывał co siłą,

na pełnej szybkości, nic go nie powstrzymywało, nikt mu drogi nie zagradzał.

Rozpacz ogarniała Karubina i nagła, niepohamowana złość. Oczy wyszły mu z orbit, straszne, nieprzytomne oczy. Miał z wrogiem porachunki, już nie tylko żołnierskie. Inne, gorsze: ludzkie. Musiał hitlerowca zniszczyć, za wszelką cenę! Za wszelką cenę zniszczyć!

Dodał gazu, odszedł jeszcze dalej w bok, wyprzedził uciekającego. Potem nagle w desperackim rozpędzie skręcił i walił — oszalała torpeda wściekłości — w stronę messerschmitta, jak gdyby chciał z nim się zderzyć.

Nie zderzył się. Przeleciał tuż nad maszyną wroga. Tuż o metr — a może było to mniej niż metr?! — ponad jego szklaną kabiną.

Przez ułamek sekundy Karubin ujrzał pod sobą twarz pilota zwróconą w górę, strasznie wykrzywioną w śmiertelnym przerażeniu — i minął.

Głuchy, potężny huk za nim.

Wróg nie wytrzymał napięcia. Uległ. Drgnęła mu na sterze ręka. Wystarczyło jedno drgnienie.

Nabierając wysokości myśliwiec zataczał koło i wracał na miejsce, gdzie messerschmitt zarył się w ziemię. Ogromny obłok kurzu i dymu. Wśród rozrzuconych szczątków wybuchały nowe płomyki. Jedno skrzydło odleciało o pięćdziesiąt metrów, resztki drugiego — o sto metrów. Z żywego przed chwilą wroga pozostały tylko kupy gruzu i ciemna chmura kurzu.

Karubin krążył dokoła i poił się obrazem zniszczenia. Miał znowu swe zwykłe oczy: harde, żarliwe, zaczepne. I on, mały polski sierżant, czerpał niedaleko ujścia Tamizy natchnienie; swe własne, swoiste; wojenne natchnienie...

Nie było w tej wojnie myśliwców zawziętszych niż Polacy! Ich zajadłość na wroga — jakże zrozumiała! — stworzyła już szereg legend powtarzanych przez prasę całego świata, w których samobójczy zuch, po wystrzeleniu amunicji, rzucał się swym samolotem na samolot nieprzyjaciela i oczywiście razem z nim ginął.

Tymczasem naga rzeczywistość była bardziej fantastyczna niż legenda: polski myśliwiec, po wystrzeleniu amunicji, w istocie rzucał się na wroga, lecz ginął — tylko wróg.

RAZ NA WOZIE, RAZ POD PODWOZIEM

Bitwa wrzała. Dzień w dzień wdzierały się na niebo Anglii niemieckie bombowce. Były jak taranem w ów bastion, by go skruszyć i zburzyć. Hitler był zdumiony: bastion wciąż się trzymał. Hitler był rozjuszony: bastion nadal się bronił.

W trzecim tygodniu bitwy o Brytanię najeźdźcy stwierdzili, że jeszcze nie opanowali powietrza Anglii, więc zmienili taktykę: całą swą powietrzną potęgę, cały napór swej Luftwaffe rzucili na jeden cel, brytyjskie myślistwo. Należało je raz na zawsze wypłenić z korzeniem. Przez pełne dwa tygodnie — pod koniec sierpnia i na początku września — bombowce ich szalały przeciw angielskim lotniskom, podczas gdy niemieccy myśliwcy starali się wytepić przeciwnika w powietrzu.

Lecz przeciwnik wciąż się bronił. Hitlerowcy, upojeni butą, tego nie rozumieli. Obwieścili już światu swe zwycięstwo, że Anglię zgnetli, że opór jej złamali, a tymczasem co dzień od nowa na ich spotkanie zrywały się z ziemi brytyjskie eskadry, nie zgniecione, nie złamane, śmiałe, odpierały ciosy, szarpały wroga i zadawały mu rany trzykrotnie liczniejsze, niż same ponosiły. Była to walka uporczywa i nadludzka z brutalną przemocą, a jednak co dzień nacierające fale rozбивały się o twardy granit brytyjski. Hitlerowcy nie przewidywali, że jest tak twardy.

W owym okresie, dnia 5 września, Dywizjon 303 odniósł chwalebne zwycięstwo. Na ogólną liczbę 39 niemieckich samolotów, strąconych tego dnia, zestrzelił osiem, sam ponosząc stratę tylko jednej maszyny, przy czym raniony myśliwiec ocalał.

Częste zwycięstwa polskich myśliwców wzbudziły w tych dniach wątpliwości dowódcy lotniska w Northolt, group captain (pułkownika) Stanleya Vincenta. Posądzał Polaków o machlojki, o przesadę w raportach o powietrznych zwycięstwach. Cichym wichrzycielem w tej sprawie był niezawodnie major Ronald Kellet, brytyjski dowódca Dywizjonu 303, niezbyt chętny swym Polakom. Group captain Vincent, chcąc osobiście przekonać się o stanie rzeczy, wzbił się owego dnia 5 września w powietrze równocześnie z Dywizjonem 303 i miał szczęście. Zachwycony, był naocznym świadkiem brawury i „szatańskiej sprawności” polskich myśliwców: w dziewięć maszyn, bo tego dnia tylko tyle mogło wystartować, Dywizjon 303 rzetelnie rozbił wyprawę junkersów, strącając trzy bombowce, a gdy w tym momencie nadleciała chmara messerschmittów z odsieczą, i tę rozgromiono przykładowo, niszcząc cztery maszyny. Wszyscy Polacy wrócili żywi na ziemię; stracili tylko jednego hurricana.

Nie dość tego. Vincent widział jeszcze, jak jeden z Polaków, sierżant Kazimierz Wtinsche, uratował majora Kelleta. Kellet znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie na skutek ostrego ataku messerschmitta, ale zanim ten zdążył zgładzić Anglika, sierżant Wunsche, widząc majora w opałach, błyskawicznie dorwał się do Niemca i „rozerwał go ogniem w kawałki” (wg relacji Eugeniusza Banaszyka).

— Good heavens! — zawołał Vincent, gdy wkrótce wylądował na lotnisku Northolt. — Oni są naprawdę tacy! To wspaniali szaleńcy!

Następny dzień, 6 września, w planach niemieckich miał być sądnym dniem dla myślistwa brytyjskiego i miał roznieść je całkowicie. Od samego rana Luftwaffe przybywała

w jeszcze większej niż dotychczas liczbie i użyła nowego sposobu, nader niebezpiecznego dla obrońców Anglii: myśliwcy jej nie tylko towarzyszyli bombowcom jako osłona, lecz niezależnie od nich zasiali całe niebo patrolującymi dwójkami, tworząc żywy pomost od brzegu Kanału daleko w głąb kraju.

— Niebo wyglądało jak akwarium z wieloma rybkami! — oświadczył później jeden z myśliwców walczących tego dnia.

Dywizjon 303 wystartował o godzinie 8 minut 45 przed południem znowu tylko z 9 maszynami. Radio z ziemi, jak zwykle, wyznaczało kierunek lotu: południowy wschód. Po przebyciu połowy drogi między Londynem a wybrzeżem myśliwcy zauważyli owo niepokojące zjawisko: niezliczone patrole messerschmittów. Szły dwójkami bardzo wysoko, na pułapie nieosiągalnym dla hurricanów. Niektóre z nich krążyły w jednym miejscu, inne zataczając esy posuwały się ku północy w głąb Anglii. Z ziemi nie było ich wcale widać na tej wysokości, natomiast obecność ich zdradzały białe smugi powietrzne, jakie samoloty pozostawiały za sobą. Na niebie, czystym jak kryształ, smug było coraz więcej i w końcu wyglądało to, jak gdyby niewidzialny pająk zarzucał na cały kraj olbrzymią, złowieszczą pajęczynę. Groźny pająk naprawdę gotował zasadzkę.

Dywizjon 303, pomimo obecności przeważającego wroga nad nim, leciał w nakazanym kierunku. Wyteżał całą swą czujność, pilnując góry i tyłu. Leciał bardzo niewygodnie, pod samo słońce oślepiające oczy; trudno było śledzić, co się działo na przedzie. Unosiła się tam mleczna, zamglona poświata, pełna słonecznych połysków, zaczajonych tajemnic i niespodzianek.

W pewnej chwili z tej białej zasłony wyłoniło się zgrupowanie nieprzyjacielskich bombowców. Sunęło w kierunku Londynu i właśnie mijało Polaków o jakie 2000 metrów na prawo. Miało za sobą osłonę z messerschmittów, którą w tej chwili atakował dywizjon spitfirów. Dogodna sposobność! Dowódca polskiego dywizjonu bez namysłu zdecydował się na natarcie i zataczając skręt w prawo, rzucił się na pełnym gazie w stronę bombowców. Dywizjon cały szedł za nim.

Daleko nie zaszedł.

Z góry spadła szarańcza. Jak wściekłe psy gończe zleciały się nagle messerschmitty z przodu, z tyłu, z boków. Z potrójną przewagą: wysokości, szybkości i słońca, w dodatku do czwartej przewagi: przytłaczającej ilości — zaatakowały dziewięciu myśliwców. Atak był druzgocący. Zaraz na pierwszy ogień poszedł samolot majora Zdzisława Krasnodębskiego, dowódcy dywizjonu. Sam major, jeden z najznakomitszych myśliwców polskich, ciężko poparzony, ratował się spadochronem.

Wartość bojowa myśliwca ujawniała się nie tylko w ataku, lecz również i w obronie, przede wszystkim w obronie. Podczas gdy każdy żołnierz lądowy miał ziemię i łatwy sposób ukrycia się przed pociskami wroga, myśliwiec na wysokości 6 tysięcy metrów nie miał dookoła siebie nic prócz pustego powietrza: ratował go jedynie błyskawiczny manewr i wyjątkowa, nadprzyrodzona przytomność umysłu.

Gwałtowny atak messerschmittów w tak dogodnych dla nich warunkach powinien był zniszczyć w pierwszym uderzeniu wszystkich dziewięciu myśliwców: zniszczył tylko jednego. Reszta wyrwała się karkołomnymi wywrotami z kleszczy i już w następnej sekundzie wytrąciła wrogowi przewagę zaskoczenia. Jego pociski, były w próżnię. Zawrzała walka. Wywiązały się pojedynki. Powstał nieopisany chaos: Dywizjon 303 wyszczerzył swe zęby bojowego wygi i wysunął zadzierzyste pazury. Nie dal się sprzątnąć od razu.

Porucznik Witold Urbanowicz, który niedawno przybył do 303 z brytyjskiego dywizjonu 145, na widok zbliżającego się żółtego pyska messerschmitta odruchowo ściągnął drążek startowy i ostro skręcił samolot, aż w oczach pociemniało lotnikowi. Przeszyła go bolesna

świadomość, że w chwili tej słabości zestrzeli go nieprzyjaciel. Nie zestrzelił. Po odzyskaniu przytomności Urbanowicz ujrzał messerschmitta przed sobą, nurkującego. Rzucił się na niego. Krążyli dokoła siebie, raz, jeszcze raz. Coraz wężiej, coraz drapieżniej. Za trzecią rundą Urbanowicz dotarł do ogona przeciwnika i strzelił z odległości 60 metrów. Pierwszy palący się messerschmitt wypadł z walki.

Sierżant Stefan Karubin, mały, zawzięty Karubin, sprzątał tymczasem drugiego messerschmitta, a widząc poniżej trzy bombowce, heinkle 111, spikował na nie. Obsypał je gradem pocisków i maszynę z prawego boku strącił w płomieniach, lecz w tej chwili, sam trafiony pociskiem armatki, musiał ratować się wywrotem. Raniony w nogę i udo, z potłuczonymi zegarami, z wyrwanym bokiem kabiny i poszarpanym skrzydłem, żalony inwalida, jednak cało wylądował gdzieś na łąkach południowego Kentu. Zanim go rozchrupali, odgryzał się walecznie.

Sierżant Wunsche pędził na pomoc spitfirowi, który leciał prosto, jakby nie wiedział o tym, że na ogonie siedział mu messerschmitt i grzał do niego jak do tarczy. Wunsche dopadł przeciwnika, który po dwóch seriach Polaka wykręcił się przez plecy, niby w kurczu, i z dymem walił w dół. O chwilę za późno: spitfire również dymił, a pilot jego wyskakiwał z kabiny.

Tymczasem z różnych stron nieba zlatywały się wciąż nowe messerschmitty. Prawdziwa zgraja głodnych szakali węszących pewny żer. Wszystkie jak zapamiętałe pędziły w to jedno miejsce. Było ich w końcu przeszło sto. Było ich tak wiele, że w zgiełku przeszkadzały same sobie. Hurricanów i spitfirów, które jeszcze pozostały, nie stać już było na normalną walkę. Wykonywały tylko same obronne uniki. Wykręcały się rozpaczliwie jak piskorze, lecz wysmykując się jednym, innym wpadały pod karabiny. Ale nawet w takich tarapatkach nie traciły ducha.

Oto porucznikowi Fericiowi, samemu ściganemu, nawinał się na celownik lekkomyślny messerschmitt jak wymarzony obraz. Dłuższa seria: czarne krzyże się paliły. W powstałym zamieszaniu Ferić pikował kamieniem i szczęśliwie odgryzał się nieprzyjacielowi. Gorzej powiodło się brytyjskiemu kapitanowi Atholowi Forbesowi z 303. On także zwał jednego messerschmitta, lecz sam roztrzaskany, musiał skakać na spadochronie.

Minęło natężenie walki, dramat się kończył. Umknęły z pułapki ostatnie hurricany i spitfiry. W powietrzu pozostały same messerschmitty, lecz i one, wyczerpane walką, czym prędzej wracały do Francji na resztkach paliwa. Pustoszały przestworza, warkot zanikał. Cisza znów nastała nad wzgórzami Wealdu i doliną Kentu. Na ziemi dopalało się kilkanaście samolotów. Z ospałą cierpliwością wciąż jeszcze opadało kilka spadochronów jak wielkie pieczarki z nieba.

Dywizjon 303 poniósł tego dnia dotkliwie straty: na dziewięć maszyn miał pięć zniszczonych, a czterech myśliwców było rannych. Zabity żaden. Natomiast maszyn Luftwaffe dywizjon strącił siedem. Lecz nie w tym leżało jego zwycięstwo: zasługą jego było to, że w dniu w którym hitlerowcy sądzili, że zadadzą ostateczny cios brytyjskiemu myślistwu, polski dywizjon, stawieniem hardego czoła i zaciekłym oporem, ściągnął na siebie większą część niemieckiego impetu i skierował go w próżnię. Dywizjon 303, pospołu z dywizjonem spitfirów, spełnił poniekąd rolę Winkelrieda. Zamiary wroga znów spaliły na panewce.

Zgrupowanie nieprzyjacielskich bombowców, które Polakom uciekło sprzed nosa, szło dalej już ze słabą osłoną. Do celu nie dotarło. Brytyjskie dowództwo rzuciło na nie głębiej w Anglii inne dywizjony myśliwców, które łatwo rozbiły jego szyki...

Spadochroniarze wylądowali wreszcie na pobojujowisku. Na niebie nie było już innych znaków po walce, jak tylko białe smugi. Ale i one powoli rozplywały się w błękitcie.

Bezwładnie rozpadała się pajęczyna, jakby nikł symbol groźnego pająka.

Niebo nad Anglią było znów pogodne.

Dywizjon 303 otrzymał tego dnia od generała Sikorskiego następujący list:

Londyn, dnia 6. 9.1940 Przekazuję dywizjonowi nr 303 „gratulacje z powodu wspaniałego dnia walki”. Życzenia te przesłał na moje ręce Minister Lotnictwa, p. Archibald Sinclair. Obok słów Jego Królewskiej Mości, zawartych w odpowiedzi Króla Jerzego VI, skierowanych do Prezydenta Rzeczypospolitej/Jest to drugie z kolei uznanie wielkich zalet bojowych, jakimi wyróżniają się lotnicy polscy. Walcząc od niedawna rycersko obok sławnych kolegów brytyjskich, poszczycić się już dzisiaj mogą poważnymi sukcesami. Ich czyny są jedyną godną Polaka odpowiedzią na ostatnie kłamstwa niecnej propagandy niemieckiej.

NACZELNY WÓDZ

Sikorski

Owe gratulacje i uznanie ze strony najwyższych czynników brytyjskich były nie tylko wiernym odbłaskiem entuzjastycznego podniecenia, jakim zapałała cała Wielka Brytania do polskich myśliwców, tak skutecznie broniących ziemi brytyjskiej, lecz miały i głębszy, bardziej polityczny cel: chodziło o podniesienie morale narodu brytyjskiego przez pokazanie mu, że w walce z Hitlerem nie jest sam i że polscy sojusznicy wierzą w ostateczne zwycięstwo Wielkiej Brytanii. W tych ciężkich dla Brytyjczyków dniach nawet takie źródła otuchy miały swą ważną wymowę.

Więc dzień 6 września 1940 i następujące po nim dwa tygodnie nazwać można okresem szczytowej koniunktury życzliwości dla Polaków na Wyspach Brytyjskich.

W tym gorącym dla myślistwa brytyjskiego okresie, kiedy dzień w dzień srożyły się gwałtowne walki nad Anglią, opustoszałe po zestrzeleniu majora Krasnodębskiego stanowisko polskiego dowódcy Dywizjonu 303 wymagało natychmiastowego obsadzenia. Wicemarszałek brytyjskiego lotnictwa Keith Park, dowódca 11 grupy myśliwskiej, nie wahał się ani chwili, znał dobrze swych pilotów, wiedział, komu zaufać. Dowódcą 303 mianował porucznika Witolda Urbanowicza, dotychczasowego zastępcę Krasnodębskiego. Jak słuszny był to wybór, wykazały następne dni: Urbanowicz odznaczył się jako kapitalny dowódca i jako as nad asami, pogromca wroga.

Aliści „Rubens”, siedziba Sztabu Polskich Sił Zbrojnych w Londynie, był innego zdania. Miał w biurze swego kandydata na dowódcę 303, chciał swemu człowiekowi przysporzyć laurów, więc zza pleców generała Sikorskiego boczył się na nominację Urbanowicza i intrygował. Generał Ujejski, szef polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii, założył protest, ale na szczęście był to głos wołającego na puszczy. Życie pędziło jak oszalałe naprzód, zawzięty wróg nieustannie nalatywał na Anglię i w tym dramatycznym ścieraniu się potęg głos Ujejskiego — na szczęście, powtarzam — okazał się daremnym gęganiem.

TLUSTA PRZEKĄSKA: DORNIERY

Cały dzień 7 września był ciepły, jasny i pogodny i upływał w blasku słońca. Dopiero po południu o godzinie czwartej minut 32 spadł grom: bombowce Luftwaffe dorwały się do Londynu.

Miasto, jak zwykle od niepamiętnych czasów, poddawało się błogiej sielance weekendu. Była to sobota. Na wschodnich przedmieściach biedota ludzka odpoczywała w swych slumsach, dzieci bawiły się na ulicach, tysiączne tłumy uczestniczyły w różnych meczach i wyścigach psów.

O czwartej trzydziści na południowo-wschodnim nieboskłonie pojawiły się w powietrzu pierwsze białe bukietki: wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej. Owe bukietki wyrastały coraz bliżej, postępowały jak huragan, syreny zawyły, huk baterii potężniał, wzrastał się szum dziesiątków samolotów i nagle runął z góry potok klęski i śmierci. Waliły jak grad bomby burzące i bomby zapalające. Na spichrze, na mieszkania, na dzieci, na zbiorniki, na ogródki, na doki, na pieski wyścigowe, na gazownie — waliły i waliły, zdawało się, bez końca. Wciąż waliły, jakby zmieść miały z powierzchni ziemi cały wschód Londynu.

Wybuchały zbiorniki, paliły się doki, płonęły spichrze, ginęli ludzie.

Lotnicy z czarnymi krzyżami zapewne śmiali się z góry do tego piekła szatańskim śmiechem. Ponosiła ich radość, że oto nareszcie w samo dumne serce znieawidzonego Imperium mogą wbijać krwawe pchnięcia za jasnego dnia, bezczelnie i bezkarnie, i jednocześnie rozpierała ich pewność zwycięzców, że brytyjskie lotnictwo już nie istnieje. Bo czyżby, istniejąc, pozwoliło im dolecieć do samego Londynu za dnia w najlepszym porządku?

W istocie, bombowce — było ich około czterdziści — leciały w zwartym szyku trójkowym, a nad nimi tyleż samo Unosiło się osłony z messerschmittów 109. Nie ma czego ukrywać: był to czarny dzień Londynu i czarny dzień dowództwa brytyjskiego myśliwstwa, które w tym dniu okazało zadziwiająco nieudolność. Nie umiało w czas powstrzymać nalotu.

Dywizjon 303 poderwano z lotniska późno, na kilka minut przed bombardowaniem Londynu, i natychmiast skierowano na północ od miasta. Stamtąd kursem południowo-wschodnim zwrócono go w stronę doków nad Tamizą. Już z daleka myśliwcy ujrzeli dymki artylerii, a po chwili, przed sobą z prawej strony, zgrupowanie bombowców Luftwaffe. Szło znacznie niżej niż dywizjon, natomiast towarzyszące mu messerschmitty znacznie wyżej. Właśnie bombowce, zbliżające się od południa do Tamizy, rzucały bomby na jej przybrzeże, po czym pędziły dalej, na północ, poprzez rzekę.

Polscy myśliwcy sądzili, że kapitan Forbes, prowadzący ich tego dnia jako dowódca brytyjski, natychmiast skieruje dywizjon w prawo, wprost na wroga, i gwałtownym atakiem przerwie mu, jeśli to jeszcze możliwe, bombardowanie doków. Lecz to nie nastąpiło. Forbes, nie widząc dokładnie nieprzyjaciela i kierunku jego lotu, zgapił się i prowadził dalej po dotychczasowej linii. Przeszedł przed nosem wyprawy bombowej o jakieś 2000 metrów i lecąc wciąż prosto, zaczął się od niej oddalać. Chwila była krytyczna. Jeszcze kilkanaście sekund w tym kierunku, a dywizjon straciłby bezpowrotnie okazję do ataku.

Inicjatywę i dowództwo objął porucznik Paszkiewicz, dowódca drugiego klucza. Myśliwiec doświadczony i żołnierz równie wzorowy, jak energiczny. Kiwając skrzydłami na

znak dla idących za nim myśliwców, Paszkiewicz ze swym kluczem wyrwał się zdecydowanie z szyku, skręcił w prawo i równocześnie znurkował: bombowce były niżej o kilkaset metrów i już prawie w tyle za dywizjonem. Natychmiast za Paszkiewiczem szurnęli porucznicy Henneberg i Urbanowicz z trzecim i czwartym kluczem i tak samo jak on skręcili. Pierwszy klucz, kapitana Forbesa, na szczęście w czas spostrzegł manewr towarzyszy i zawrócił, ciągnąc teraz jako ostatni za innymi.

Podczas gdy dywizjon szerokim łukiem oskrzydlał niemieckie bombowce, rozgrywał się wysoko nad nim odmienny, wstępny akt bojowy, niezmiernie ważny i korzystny dla dalszej akcji Polaków. Mianowicie kilka sekund temu inny dywizjon hurricanów zleciał jak z nieba i ostro zaatakował osłonę wyprawy bombowej. Tym sposobem związał od razu większą część messerschmittów, pozbawiając bombowce skutecznej obrony myśliwskiej.

Bombowce — były to dornieri 215 — idąc trójkami blisko siebie, tworzyły zwartą masę, by łatwiej wzajemnie się obronić. Owa powietrzna reduta przedstawiała pozornie wielką siłę ognia — około 120 karabinów maszynowych, lecz wobec jednego dywizjonu myśliwców, szaleńców akrobatyki i czartów kaśliwości, cała ta kupa bombowców była ociążała i bezbronna jak żółw przewrócony na plecy.

Zrobiła się straszna siekanina. Rąbanie na całego, prucie całej wyprawy. Masakra, jakich mało było w dziejach walk powietrznych. Pierwszy dopadł klucz Paszkiewicza, dopadł do ostatnich bombowców. Klucz Urbanowicza wżarł się w prawy bok nieprzyjaciela. Klucz Henneberga wżarł się w jego lewy bok. Klucz kapitana Forbesa uderzył w przednie szyki. Wzięli wroga ze wszystkich stron. Dwanaście wściekłych szerszeni o zabójczym żądle. Dwanaście namiętych ogarów szarpiących cielsko odyńca.

Rozszarpali cielsko.

Pierwszy dornier zaraz na wstępie buchnął płomieniem od pocisków porucznika Paszkiewicza. Z lewej strony sierżant Szaposznikow ściał drugiego dorniera. Tymczasem z prawej strony: trzeciego — sierżant Stefan Wojtowicz. Czwarty bombowiec, zaatakowany przez podporucznika Łokuciewskiego, „pękł jak bańka”. Piątego „skosił” podporucznik Jan Zumbach. Potem dwóch myśliwców z pierwszego klucza, Kanadyjczyk Forbes i Kazimierz Daszewski, równocześnie zrąbali dwa dornieri. A tymczasem Urbanowicz zapalił nowego bombowca, Paszkiewicz zatłukł swą drugą ofiarę i Wojtowicz strącał także swego drugiego.

Odbyło to się wszystko niezmiernie szybko, sprawnie, niemalże z wdziękiem. Sportowo. Dornieri spadały z powietrza jak kuropatwy ze stada. Niektóre w dubletach.

Odbyło to się tak szybko, że dopiero teraz na pomoc zlatywały z góry messerschmitty, nie związane dotychczas w walce z hurricanami. Przyleciały za późno. Rozgrom bombowców był dokonany, wyprawa rozbita. Który z dornierów jeszcze cały, rwał co sił ku Francji, pojedynczo, dwójkami, chyłkiem, jak popadło. Wszystkie w popłochu, na oślep. Już lotnicy z czarnymi krzyżami nie chichotali. Zastygły im śmiechy. Podpalacze przedmieść Londynu sami ginęli w płomieniach własnych maszyn. Rozbitków, uciekających przez wschodnią Anglię, wyłapywały i niszczyły inne hurricany i spitfiry.

Niektórzy myśliwcy z „303” walczyli jeszcze z messerschmittami. Porucznik Henneberg strącił jednego Me 109, sierżant Szaposznikow drugiego, porucznik Marian Pisarek trzeciego. Przy tym trzecim Pisarek miał pecha. Zestrzelono mu maszynę i myśliwiec musiał skakać na spadochronie. Wyskakując zahaczył się lewym trzewikiem o brzeg kabiny i długi czas leciał z samolotem, wisząc głową na dół. Wreszcie wyrwał nogę z trzewika i szczęśliwie wylądował w skarpetce. Wtedy się zawstydził: w skarpetce była dziura.

Podporucznik Jan Zumbach był w dywizjonie ostatnim, który zestrzelił bombowca, swego drugiego w tej walce. Było to już w chwili ogólnej paniki. Oślepy dornier sam wlaź Zumbachowi w karabiny na 20 metrów. Po serii wybuchł z niego tak długi warkocz ognia, że

myśliwiec, przerażony o swą maszynę, jak piorun skręcił w bok. Stracił przytomność i odzyskał ją dopiero cztery tysiące metrów niżej, blisko nad płonącym przedmieściem. Zbudził się w sam czas.

W tej walce Dywizjon 303 zestrzelił 14 maszyn pewnych i 4 prawdopodobne. Strat własnych poniósł: dwie maszyny, jednego rannego i — i jeden trzewik. Inne dywizjony RAF-u straciły tego dnia ogółem 61 maszyn, same tracąc 20. Artyleria przeciwlotnicza spisała się wspaniale: zniszczyła 28 maszyn. Był to jej najlepszy w tej wojnie wynik.

Porucznik Urbanowicz, widząc, że napływały nowe fale niemieckich bombowców, wylądował na pierwszym napotkanym lotnisku na wschód od Londynu, by pośpiesznie uzupełnić amunicję i paliwo. Na lotnisku zastał pustkę. Przekolował z jego jednej strony na drugą: pustka.

Ponad palącymi się przedmieściami buchały czarne kłęby dymu, zaciemniając pół nieba. Z lotniska wyglądało to groźnie, jak gdyby płonął cały Londyn. Gdzieś w pobliżu była nieustannie artyleria, tworząc zaporę ogniową. Trochę dalej słychać było wybuchy bomb. Walka dokoła wciąż trwała.

Wtem zjawił się angielski kapral i poprosił uprzejmie Urbanowicza, by poszedł do schronu. W schronie myśliwiec zastał kilku jeszcze żołnierzy, obsługę pobliskiego stanowiska karabinów maszynowych. Była właśnie godzina piąta po południu, pora podwieczorku. Żołnierze spokojnie pili herbatę i flegmatycznie gawędząc palili papierosy. Nic na świecie nie obchodziło ich w tej chwili prócz herbaty: była to przecież godzina piąta.

— Do you Hke a nice cup of tea? (Czy chce pan filiżankę herbaty?) — zapytał miły kapral i nie czekając na odpowiedź poczęstował gościa herbatą.

Niedaleko padła bomba wstrząsająca powietrzem nawet w schronie.

— Ho! ho! — zerknął kapral z uśmiechem do myśliwca i dalej smarował sobie dokładnie i z lubością chleb dżemem.

Urbanowicz nie wytrzymał. W nerwach miał jeszcze wrzawę walki, którą kwadrans temu stoczył. Flegma owego five o'clock tea wydała mu się koszmarną sielanką. Wrzasnął na pocziwego kaprala, by — at once, immediatelly! — zaprowadził go do ludzi, którzy mają amunicję i paliwo. Kapral wytrzeszczył zdziwione oczy; posłusznie zaprowadził. Ci ludzie także pili herbatę w schronie, lecz dali Urbanowiczowi, czego potrzebował. Gdy następnie myśliwiec wzbijał się w powietrze, wydało mu się, że wrywa się z dziwnego snu.

U góry poczuł się lepiej, we własnym żywiole. Złagodniał, poweselał. Lecz wciąż szumiało mu w uszach natrętnie:

— A nice cup of tea! ... A nice cup of tea! ...

Na wysokości 20 000 stóp wszedł na szlak nieprzyjacielskich bombowców. Wtedy otrząsnął się zupełnie, ochłonał, był znów sobą, zaśmiał się z kaprala. I zrozumiał, jak olśnienie, wielką prawdę tej wyspy: takiemu narodowi spalą zapewne wszystkie Londyny, lecz i wtedy nawet nie straci spokoju i kto wie, czy właśnie tą niebywałą niewzruszonością nie wygra wojny.

BÓL

Podporucznik Kazimierz Daszewski, czyli Długi Joe, jak go przewalali koledzy, był właściwie zagadką. Krył w sobie różne niespodzianki i ludzie w sądach o nim łatwo się mylili. Omylił się angielski marynarz i był bezczelny, bo widział wychudzonego lotnika o nieśmiałym, łagodnym uśmiechu: a Joe nie pozwolił sobie odebrać dziewczyny w tańcu i trącił marynarza w szczękę. Srogi knock-out rozłożył intruza, który teraz zrozumiał, że nieśmiały uśmiech Daszewskiego nie wykluczał rogatej duszy i stalowych mięśni.

Łagodny jego uśmiech i bardzo jasne, bardzo pogodne oczy kryły w sobie jeszcze inną niespodziankę, bo nikt by nie przypuszczał, że Daszewski przeszedł za życia męki piekła.

Owego wrześniowego dnia rąbaniny dornierów i on s | rącił bombowca. W zamieszaniu, jakie następnie powstało, ścigał uciekającego wroga aż nad Dover, lecz tu przyszła kreska na Matyska: otoczony messerschmittami dostał pociskiem z działka lotniczego.

Dostał dobrze. Gdy huk rozległ się w kabinie, szrapnel wyrwał mu wielkie kawały mięsa z uda, biodra i ramienia. Myśliwca przeszył ból tak przejmujący, że od razu sparaliżował mu całą prawą stronę ciała. Jednocześnie gorący glikol lunął mu w twarz i poparzył ją. Kabinę wypełnił duszący dym.

Pomimo wstrząsu instynkt Daszewskiego pracował jasno: wyrwać się z pola obstrzału! Wyrwać się, jak? Okazało się, że samolot był postrzelony tak samo jak Daszewski. Stery nie działały, były zerwane. Drażek sterowy posuwał się luźno.

A tymczasem nastąpiła groźna rzecz: samolot wpadł w korkociąg. Ruch wirowy obryzgiwał całą kabinę krwią i, co gorsza, jakby rozrywał na wszystkie strony mózg rannego. Jednak należało działać, i to szybko. Samolot świdrem pędził w dół. Za kilka sekund musiała nastąpić katastrofa.

Pozostał jedyny ratunek: skakać. Daszewski otworzył kabinę, lecz nie mógł z niej się wydostać. Był zbyt słaby. Wduszała go wiatr do środka, wpychały go metalowe drzwiczki. Daszewski walczył jak oszalały. Ostatecznie rozpaczliwym wysiłkiem lewej, zdrowej ręki wygramolił się na brzeg, lecz tu zatrzymała go nowa przeszkoda, mianowicie przewody: radiowy i tlenowy, przyczepione do kominiarki na głowie. Myśliwiec był nimi uwiązany do samolotu. Daszewski szamotał się jak zwierz na uwięzi, z okaleczonego ciała dobywał ostatnich sił, wreszcie udało się. Zerwał przewody. Wyleciał w powietrze.

Wtedy powstały w jego myśli dwa uczucia: zdziwienia i obawy. Zdziwienia, że wylatując nie uderzył o ster samolotu, o co łatwo w korkociągu. Obawy, że nad nim były messerschmitty. Wróg miał zwyczaj strzelania do nieprzyjacielskich spadochroniarzy. Wiele czarnych krzyży kręciło się w pobliżu. Daszewski miał się na baczności. Nie otwierał spadochronu.

Spadał w dziwnym położeniu: plecami do dołu, twarzą do góry. Nie widział ziemi. Przy tym nadal leciał w korkociągu, zataczając ciałem zawrotne młyńce. Młyńce niebawem zaczęły się nieco odchyłać i wówczas Daszewski dostrzegł, na brzegu wirującego nieba, skrawki ziemi. Lecz był to tylko jej horyzont i Daszewski wciąż nie wiedział, jak blisko jest ziemia pod nim. Nagle ogarnął go paroksyzm niepokoju: a nuż ziemia jest niedaleko? Kiedy wyskakiwał? Jak długo spadał? Minuty czy tylko ułamki sekundy? Daszewski spadał jak

bezwładna kula. Starał się odwrócić głowę, by spojrzeć w dół; nie mógł. Zaczął liczyć: raz, dwa... lecz ustał. Rozleciały mu się liczby, myśli rozwiały się jak dym. Zresztą po co liczyć? Nie widział ziemi i strach przed zderzeniem męczył go coraz potworniej. messerschmitty już nie istniały. Istniała tylko przepaść, pełna coraz bliższej grozy. Dość! Dość spadania! Otworzyć spadochron!

Lecz spadochron otwierał się prawą ręką pociągnięciem rękojeści. Daszewski nie mógł ruszać prawą ręką, była od rany sparaliżowana. Nie mógł otworzyć spadochronu. Próbował lewą. Daremnie. Lewą nie dosięgał. Śmierć zajrzała mu w oczy blisko, wyraziście. Lecz Daszewski nie chciał się poddać, wybuchał nowym spazmem walki. Chciał żyć! Zaczął szarpać lewą ręką jak w konwulsjach. Żyć! Otworzyć spadochron!

To były konwulsje. Gwałtowny spadek z 7000 metrów — na tej wysokości zestrzelono go — i raptowna zmiana ciśnienia powietrza rozdierały mu prawie płuca. Daszewski czuł, że mu głowa pęknie. Lewa ręka wykonywała nieustannie bezwiedne ruchy i nagle, w jakimś skurczu, natknął się na metal. Rękojeść! W istocie, była to rękojeść spadochronu. Wyszarpał ją. Posłyszał nagle przeciągły szum poza plecami. Plecak się opróżnił. Spadochron się rozwijał. Myśliwiec zrozumiał, że jest ocalony.

Gdy spadochron rozwarł się cały i utworzył kopułę, szarpnął ostro ciałem Daszewskiego i postawił je w pozycji normalnej, głową do góry. Szarpnięcie spowodowało nowy ból, tak przeszywający, że lotnik myślał, iż oszaleje. Ciało jego wisiało na pasach, przechodzących akurat przez zranione biodro, i dlatego tak dolegało. Okropne męczarnie wzmagaly się z każdą chwilą. Nie było na nie rady. Pomimo cierpień Daszewski nie tracił przytomności, przeciwnie, powiew wiatru go orzeźwiał. I to było najstraszniejsze.

W końcu lotnik nie mógł tego znieść. Chciał rozluźnić pasy. Byłoby to samobójstwem. Na szczęście nie miał dostatecznych sił, by zamiar wykonać. Spadał dalej i cierpiał.

Spadochron rozwinął się na wysokości około 2000 metrów. Wiek upływał — tak Daszewskiemu się wydawało — a ziemia wcale się nie zbliżała. Wiatr zaczął go wypychać ku morzu, lotnik wisiał już nad wodą, lecz to nowe niebezpieczeństwo mało go poruszało. Później, znacznie niżej, przeciwny wiatr zawrócił go ku brzegowi. Wylądował nareszcie w pobliżu jakiejś wsi.

Spadochron włócił go i obtłukiwał po twardych grudach zoranej ziemi, lecz lotnik był już zupełnie zubożniały na udreki po poprzednich przeżyciach i zapewne też po utracie krwi.

Usłyszał ludzkie głosy. Gonili go. Złapali za nogi i tak go przytrzymali. Nowe katusze, bo był jak na Madejowym łożu: w jedną stronę ciągnęli ludzie za obolałą nogę, w drugą stronę ciągnął spadochron. Widząc nieznany mundur — miał na sobie mundur z Francji i naszywki polskie — wołali: German! i obchodzili się szorstko.

— No German! Polish! — bronił się Daszewski słabym głosem i starał się pozyskać ich bladym uśmiechem.

Gdy w końcu wyjaśniły się sprawy przynależności narodowej i ściągnięto krnąbrny spadochron na ziemię, powstały nowe tarapaty, mianowicie, jak odczepić od niego lotnika. Nikt z ludzi nie umiał otworzyć sprzączki spadochronu, a on nie mógł im pokazać. Manipulowali, kombinowali, szarpali. Daszewski, znieruchomiał, cierpiał, oni się biedzili. Wreszcie po kwadransie namysłów rozcięli pasy nożem — prostym, starym sposobem na gordyjski węzeł.

Zanim przyjechał ambulans, bandażowali mu nogę. Byli gorliwi i przyjaźni i podczas gdy jedni nakładali bandaż, inni go przytrzymywali, by się nie rzucał. Pewien home-guardzista, chłopisko jak tur, trzymał mocno jego prawe ramię właśnie tam, gdzie była rana, i nieświadomie sprawiał nowe tortury. Daszewski zaklinał go, błagał, nieledwie się modlił i

odchodził od zmysłów. Przy tym zapomniał angielskiego języka i szeptał po polsku:

— Puść ramię, przyjacielu! ... Puść ramię, sakramencka cholero! ... Ramię!! ... Aniele, ramię! ...

Lecz bez skutku. Gdy gwardziście ręce zalały się krwią, zajrzał pod strzępy rękawa, dopiero się zorientował, zdumiał i puścił. Powiedział dobrodusznie:

— Oh, I am so sorry!.. (Bardzo przepraszam.)

Gdy Daszewskiego wkładali do ambulansu, zapadł w głęboki sen. Pewnie stracił przytomność.

Po trzech i pół miesiącach wyszedł ze szpitala. Ubyło mu ciała, lecz rany się zagoiły. Pozostała dawna krzepa w mięśniach i duch pozostał. Daszewski był znów w powietrzu i polował na bombowce i messerschmitty.

Lecz co najdziwniejsze w nim i co najbardziej uderzało, to jego oczy i jego uśmiech. Daszewski miał w oczach wciąż słońce, a w uśmiechu — dziecięcą radość. Bolesne przeżycia i kilkutygodniowa gorączka nie złamały go, nie pozostawiły żadnych złych śladów. Po prostu Daszewski nadal zachował wewnętrzną pogodę. Jego niepokonana żywotność była wzruszająca i czasem, patrząc na to nieugięte chłopię znad Wisły, odnosiło się wrażenie, że Daszewski był więcej niż dziarskim myśliwcem. Że Daszewski to symbol czegoś niezniszczalnego. Że jego ból i blizny, i słoneczne oczy, i uśmiech — to rzeczywiście symbole zwycięskiego, choć w ranach, narodu.

UŚMIECH POPRZEZ KREW

W tyle, za dowódcą klucza jako trzeci myśliwiec leciał podporucznik Jan Zumbach. Stanowił osłonę klucza i zataczając w powietrzu skręty, pilnował góry i tyłu, by nieprzyjaciel nie zaskoczył. Miał czego pilnować. Diabelnie wiele uwijało się messerschmittów! Oprócz grupy niemieckich myśliwców, walczących już z hurricanami, widniały na tle całego nieba pojedyncze sylwetki wroga, tu, tam, wyżej, jeszcze wyżej; najbliższe nie dalej niż tysiąc metrów od Zumbacha.

Anglii wcale nie było widać. Zakrywała ją zwarta, nieprzerwana chmura. Nad chmurą lecieli myśliwcy, jak nad puszystym dywanem, na który fantastycznie świeciło wrześnie słońce. Czarodziejskość dywanu i zupełne oderwanie się od widzialnego świata narzuciło nagle Zumbachowi dziwną myśl, że wszystko dokoła to jakby tylko obraz z baśni. Że tu — zawzięty pościg wroga, tam u góry — zażarta bitwa myśliwców — to nic, tylko czary.

— Czary! — zawołał głośno Zumbach w swej kabinie i śmiał się z siebie samego. Zumbach był trzeźwym myśliwcem i nie uznawał rozmarzenia.

Wtem uwagę jego przykuła niepokojąca zmiana: znikł samolot dowódcy klucza. Zumbach stracił go przed chwilą z oczu, w chwili gdy wykonywał ubezpieczający skręt. W powietrzu unosiły się tu i ówdzie kłęбки mgieł jak rzadkie krzaki na pustyni. Za taką zasłoną znikł mu dowódca. Lecz teraz, oho! znów się pokazał; trochę wyżej, niż był poprzednio; jakie pięćset metrów na wprost przed Zumbachem. Tak, to na pewno jego dowódca — stwierdził z ulgą myśliwiec.

Dodał gazu i łatwo dopędził. Zbliżywszy się na kilkadziesiąt metrów, zmniejszył szybkość, by automatycznie dołączyć na skrzydła dowódcy, gdy nagle uderzyło go niezwykle spostrzeżenie: samolot przed nim miał przy stateczniku sterowym dwa zastrzały, drewniane podpórki, a powinien być, jak wszystkie inne hurricany, bez zastrzału. Zumbach wytrzeszczył oczy — miał przecież dobre, polskie oczy! — i widział wyraźnie: dwa zastrzały. Cóż to, u licha?

Myśliwiec leciał w samym ogonie podejrzanego zjawy, więc by przyjrzeć jej się lepiej, odszedł nieco w bok. Wtedy w oczach mu pociemniało: samolot miał na boku żółte, poziome pasy i miał czarny krzyż. Krzyż. To messerschmitt 109!!

Zumbach aż się zjeżył, aż przygarbił. Nieco z góry, z boku, bez odkładania poprawki, rzygnął w przeciwnika gęstą serią. Na tę odległość pociski pruły jak ostry topór. Z messerschmitta poleciały tylko żałosne wióry, a część jednego skrzydła zupełnie odpadła. Buchając dymem, samolot zwałił się w dół i zanim zginął w chmurach, był cały w płomieniu.

Zumbach odprowadzał go błyszczącym wzrokiem.

— Czary! — szeptał trochę zdumiony i znowu śmiał się, tym razem ze zwycięstwa...

Już się zbierał, by szukać znów dowódcy, gdy zniemacka ze spóźnioną odsieczą spadł na niego z góry nowy messerschmitt. Zumbach właśnie zataczał koło i to go uratowało: wszystkie pociski wroga miały go z boku. Widać było tylko ich przelatujące smugi.

Lotnik zerwał się jak oparzony. Skręcił w górę, by związać się w walce kołowej. Lecz przeciwnik nie głupi, nie dał się związać. Korzystając z przewagi swej szybkości, nurkował, lecz potem raptownie się wzbijając wciąż pozostawał u góry, nad głową Zumbacha. Stamtąd ód nowa pikował strzelając. Tak dziobał raz po raz jak rozjuszony ptak. Zumbach gwałtownie zwał swe skręty. Była to jedyna jego obrona: pociski waliły w próżnię, obok.

Straszliwa zawziętość ogarnęła walczących. Wiedzieli: jednemu z nich śmierć! Przewagę miał tamten. Strzelał. Zumbach strzelać nie mógł. Bronił się. Lecz kołując pociągnął maszynę powoli w górę. Z nieludzkim wysiłkiem zbliżał się do wroga. Miał świadomość, że zginie, jeżeli wnet nie wejdzie na jego pułap i nie narzuci mu równej walki.

Wtem — o zgrozo! — do messerschmitta dołączył się drugi messerschmitt. I nagle obydwie samoloty zmieniły taktykę. Nie atakowały. Leciwały teraz w koło, tak samo jak Zumbach, jeno wyżej nad nim. Wyglądało to, jak gdyby go tylko pilnowały. W istocie — pilnowały.

I wciąż nie koniec! Ukazały się jeszcze dwa nowe messerschmitty. Zniknęły z oczu, lecz pozostały w pobliżu i coś knuły. Razem było ich teraz cztery. Tego za wiele! Zumbach nie myślał już o walce. Jedyne: uciekać, ratować życie! Uciekać w dół, do zbawiennych chmur. Spojrzał w dół — i struchlał: tam pod nim, tuż nad chmurami, krążył messerschmitt! Piąty! Odcinał mu odwrot.

Zumbach, choć to chłopak był na schwał i żołnierz nieulekły, jednak w tej chwili, otoczony i wzięty jak w kleszcze, nie mógł stłumić uczucia strachu: ciarki leciały mu po plecach. Lecz myśliwiec miał stalowe nerwy i mózg jego ani na chwilę nie przestał pracować. Porzucił myśl, pozornie tak ponętą, zwałenia się, w gwałtownym nurkowaniu, na łeb na szyję, do chmur. Jakkolwiek nie były niżej niż pięćset metrów, doświadczony myśliwiec wiedział, że zanim dopadłby obłoków, messerschmitty z góry weszłyby mu na ogon i zestrzeliły go pierwszą serią. Zumbach wybrał inną drogę, jedyną, chociaż wymagającą nadludzkiego opanowania nerwów. Nie wiał piorunem, tylko ciągle krążąc obniżał nieznacznie swój lot ku chmurom. Zumbach to wytrawny myśliwiec: mocno panował nad drążkiem sterowym i nad nerwami.

Wtedy nagle się wyjaśniło, co robiła druga dwójka messerschmittów, gdy poprzednio zniknęła z oczu. Poleciała wysoko w górę i oto od słońca, z najdogodniejszej strony zaatakowała hurricana. Najpierw rzucił się jeden z nich, strzelił, chybił, a gdy wyprowadzał maszynę z lotu nurkowego, by znów wzbic się pod słońce, drugi szedł jego śladem. Zumbach zrozumiał ich chytry plan: podczas gdy trzy messerschmitty — dwa u góry, jeden na dole — pilnowały każdego jego ruchu, by nie wymknął się z pułapki, dwa pozostałe przeprowadzały spokojne ataki i podając go sobie z ręki do ręki, starały się zadać mu ostateczny cios.

Druga seria pocisków, na szczęście, także chybiła, również i trzecia. Zumbach tymczasem zeszedł już znacznie na dół i znajdował się tuż w niebezpiecznym pobliżu nad piątym messerschmittem.

Wtem zaszła rzecz nieprzewidziana, przewracająca zupełnie kota w miechu. Cudaczny wybryk zmienności losu zgotował myśliwcom nieprawdopodobną niespodziankę.

Przy czwartym ataku pociski nieprzyjacielskie znów przeleciały nad głową myśliwca i sunęły dalej w dół, w bezpośrednie sąsiedztwo piątego messerschmitta. Tenże, nie orientując się, skąd pochodziły smugi, i sądząc zapewne, że to atak na niego jakiegoś innego hurricana; przybyłego na pomoc — nagle przeraził się i wywrotem dał nura ku chmurom.

Dalsze wypadki nastąpiły po sobie jak błyskawice: Zumbach uczynił to samo co przeciwnik. Znurkował. Był na linii messerschmitta, mniej niż sto metrów od niego. Odruchowo wziął go na cel, nacisnął spust. Trafił. Messerschmitt poderwał się i zjechał bezwładnie na skrzydle do chmur. Zumbach wpadł za nim.

Wpadł w chmury. Wyrwał się z matni. Był ocalony. Był odurzony i rozdygotany, lecz żywy. Rozdygotane od walki były również przyrządy jego maszyny: nie działały ani kompasy, ani sztuczne horyzonty.

Gdy Jan Zumbach w kwadrans później lądował na swym lotnisku wśród uradowanych przyjaciół, poprosił zaraz o papierosa i o szklankę wody. Koledzy z niepokojem patrzyli na jego spieczoną usta: miał w ich kątach krople zakrzepłej krwi.

Lecz Zumbach uśmiechał się do swych przyjaciół — poprzez krew.

CHMURA

Minęły czasy, gdy chmury były dla człowieka czymś dalekim i nieuchwytnym i tylko źródłem marzeń lub troską rolnika, czy malarskim natchnieniem. Dziś nabrały innej wagi: wtargnęły głęboko w ludzkie życie, stały się ważnym czynnikiem ludzkiego losu. Dla lotnika, a zwłaszcza dla myśliwca, chmury były tym, czym ongiś gęste puszcze dla pioniera dalekich krajów: czasem groźbą zasadzki, czasem błogosławieństwem ocalenia. Dawna romantyka Fenimorów Cooperów była zielona i rosła na powierzchni ziemi; dzisiejsza romantyka była biała i kłębiła się pod niebem...

Susem w chmury podporucznik Jan Zumbach uratował swe życie. Dziwnym trafem, kilkanaście kilometrów dalej, o tej samej godzinie inny myśliwiec z „303”, sierżant Kazimierz Wiinsche, doznał podobnej przygody. I jego napadło kilka messerschmittów i on również bronił się od ich pocisków gwałtownymi skrętami. Lecz zanim wróg zdołał zorganizować skuteczną nagonkę, Wiinsche wyrwał mu się spod karabinów i uciekł do chmury.

Niestety, była to tylko jedna chmura, olbrzymia, lecz oderwana jak wyspa od innych obłoków. Kulisty cumulus o średnicy półtorakilometrowej, z góry i od dołu spłaszczony.

Myśliwiec schował się w nim dobrze. Był tu zupełnie bezpieczny od prześladowców. Doznał ulgi. Otoczyła go jakby jasnoszara wata, tak gęsta, że nie mógł widzieć nawet końców własnych skrzydeł. Leciał teraz na ślepo, polegając jedynie na przyrządach nawigacyjnych. Trzymał się wciąż na tej samej wysokości i zataczał w środku chmury koła o średnicy mniej więcej kilometrowej.

Gdy po kilku kręgach ochłonał ze wzruszeń przebytej walki, zaczął na zimno myśleć. Ucieczka w chmury w bok lub w górę była niemożliwa, gdyż wiedział, że są tam messerschmitty. Jedyna możliwość pozostawała ku dołowi i Wiinsche nie zwlekał. Miał już mało paliwa, bodaj czy na pół godziny lotu, więc musiał działać.

Drażek sterowy wysunął do przodu i natychmiast poczuł skutki nurkowania: zwiększony pęd wciskał jego plecy do tyłu. Myśliwiec wszedł w niższe warstwy obłoku, gdzie było nieco ciemniej, i potem nagle uderzył go jak obuchem jaskrawy potok światła. Samolot wypadł z chmury.

Niestety. I tu, pod obłokiem, czuwały messerschmitty. Było ich kilka, pięć czy sześć, i właśnie strzelały do czegoś niedaleko w chmurze. Widocznie oprócz Wunschego był tam jeszcze ktoś inny. Myśliwiec nie zdołał oddalić się nawet o sto metrów, gdy spostrzegł obok swej maszyny wirujące smugi. Już strzelali do niego. Zrozumiał: nie tędy droga. Wyrwał samolot z nurkowania, wciągnął go do góry. Przy tym krew odpłynęła mu z głowy i mrok opadł na oczy, lecz myśliwiec nie puścił steru i szczęśliwie wrócił do osłony. Był znów w chmurze.

W przyjaznej chmurze. Lecz przyjaźń jej miała dla myśliwca cierpki posmak. Bo myśliwiec był jak ptak: musiał patrzeć daleko, musiał widzieć, dokąd leci jego żywioł: przestrzeń. Tymczasem w chmurze jakby mu oczy wykłuto: Było to nieznośne uczucie, tym nieznośniejsze, że gdzieś w niebezpiecznym pobliżu latał drugi samolot, również na oślep. Dwóch przyjaciół odbywało jakiś koszmarny pojedynek amerykański i w ćmie groziło sobie

wzajemnie śmiercią.

Sierżant Wiinsche był bardzo młody, młodszy niż wszyscy jego koledzy. W życiu marzył o wielkich lotach, o zwycięskich walkach, a jeżeli czasem myślał o śmierci, to o chwalebnej. Nie takiej jak tu: od własnego kolegi, głupiej i przypadkowej, śmiesznej i sromotnej. A poza tym był jak nędzna mysz, która złapana do klatki, chroniła się od pazurów kocich, czyhających dokoła.

Ucieczki spróbował jeszcze raz. Nie z dołu, lecz wyżej, z boku. I znowu pech! Wychodząc z chmury, wpadł wprost na dwa messerschmitty. Nagły wywrót przez plecy i szur! z powrotem do chmury. Tamci nie zdążyli nawet strzelać. Więc ponownie nie udało się i ponownie ratowała go chmura. Myśliwiec latał w niej dokoła. Wciąż dokoła. Leciał również i czas, upływały sekundy, minuty. Paliwa było coraz mniej. I coraz mniej nadziei. Chociaż ukrywał go przyjazny obłok, myśliwiec czuł się w nim coraz gorzej: obłok to makabryczny przyjaciel, bo przyjaciel i zarazem wróg. W młodej, żołnierskiej duszy nie mogła pomieścić się taka dwoistość, że to przyjaciel a zarazem wróg. Sierżant zaczynał się bać, coś się w nim rozszczępiało. Nerwy. Widział pędzący ku sobie samolot owego drugiego, jak dawni żeglarze widzieli Latającego Holendra. Ow upiorny samolot zjawiał się raz po raz przed nim, w kłębowiskach mgły, i natychmiast się rozwiewał. Złuda to czy prawdziwy samolot? Myśliwiec nie wiedział, lecz wiedział, że to było straszne. Włosy jeżyły mu się na głowie.

Obłok już nie był przyjacielem; był przerażający. Napawał grozą. Mącił myśli. Lotnik czuł jedno: uciekać z tej duszającej ślepoty, dopóki jeszcze czas. Wyrwać się w otwartą przestrzeń, widzieć niebo i szeroki świat, błogi świat pilota — inaczej puści ten drążek i wybuchnie spazmem. Inaczej — opadnie go obłęd. Ów obłęd, który często ogarniał pionierów zbłąkanych na bezdrożach leśnej dżungli.

Myśliwiec bronił się od upiora. Uciekał. Już nie skręcał maszyny; leciał prosto. Przebił brzeg chmury, wyskoczył w słońce. Nikogo nie widział przed sobą. W bok nie patrzył. Był oślepiiony. Sunął na wprost. Błysk nadziei, że się uda... Nagle zdradliwy trzask i straszny wybuch gorąca z maszyny. Chociaż ognia nie widział, myśliwiec wiedział: silnik się palił. Trafili go. Jednak trafili!

Równocześnie gorąca oliwa chlusnęła w jego twarz. Od skwaru zrobiło mu się słabo. Był bliski omdlenia. Zerwał pasy wiążące go do kabiny. Jeszcze miał na tyle przytomności, by odciągnąć samolot w górę i zamknąć gaz. Otworzył kabinę. Wdarł się wiatr orzeźwiający jak chłodna woda. Jeszcze jeden siłek dźwignięcia się i już resztę wiatr sam zrobił: wyrwał go z kabiny.

Natychmiast po wyskoczeniu lotnik popełnił wielkie głupstwo. Otworzył spadochron. Powinien był czekać. Lecz za późno się spostrzegł i po chwili z lekkim hukiem rozwarła się kopuła. Zbyt blisko wroga.

Był to wróg, który uznawał tylko prawo dżungli w najbrutalniejszej jego formie: zabijać bezwzględnie, tępić, choćby bezbronnego, tępić właśnie bezbronnego. Sierżant, wisząc bezwładnie na pasach, spoglądał w górę i wyraźnie spostrzegł dwa zbliżające się do niego messerschmitty. Przyjął to jako nieuchronne następstwo swego błędu. Był dziwnie obojętny i zapadł w stan łagodnego omdlenia. Widocznie działały tak brak tlenu na tej wysokości i poprzednie przeżycia w gorącej kabinie.

Po dwóch minutach przyszedł do siebie. Wciąż spadał. Żył. I sierżant Wiinsche żyć będzie: zjawily się w pobliżu trzy spitfiry. Pokrzyżowały zakusy messerschmittów, odpędziły wroga i oto osłaniały lot spadochroniarza. Myśliwiec opadał bezpiecznie ku ziemi i ku nowemu życiu.

To jednak była przyjazna chmura. Trzeba było może ufać jej i wytrwać do ostatka. Niestety przyszło wtedy, gdy między człowiekiem a przychylnością chmury wtargnęły

do duszy ludzkiej szkodliwe moce, lęk. Bo tam u góry, w przestworzach, było zupełnie tak samo jak na ziemi: przyjaźń, nawet przyjaźń między człowiekiem a przyrodą — opierała się na odwiecznych prawach zaufania.

NAJLICZNIEJSZE ZWYCIĘSTWO

Najbliższe siedem dni może zdecydować o losach całej wojny. Nigdy nie było bardziej krytycznego tygodnia w dziejach świata... Jeżeli chodzi o Niemców, to ich zagadnienie jest jasne: albo teraz, albo nigdy... — pisał J. L. Garwin w londyńskim „Observerze” o tygodniu, który rozpoczął się dnia 7 września 1940 pierwszym wściekłym atakiem Luftwaffe na Londyn.

Pierwszym atakiem. Drugi nastąpił tej samej nocy, z 7 na 8 września, i obok starych łun, jeszcze niewygasłych, wybuchły nowe pożary. I odtąd tak noc w noc hordy wyjących bombowców, bezkarne w ciemności, napływały na stolicę. Cel ich był jasny: poszarpać żywotne arterie ludzkiego kolosa, rozprężyć dziewięciomilionową masę, zamienić ją w głodną, zbuntowaną tłuszczę i w ten sposób zmusić rząd brytyjski do kapitulacji.

Jakiegokolwiek wizje pieścił sztab Hitlera o zniszczeniu Londynu, kalkulował źle: nie liczył się właśnie z czynnikiem ogromu tego ludzkiego mrowiska i poza tym — jak już często — okazał się złym psychologiem. Zabicie kilkuset cywilnych mieszkańców, a z biegiem czasu — kilku tysięcy, oraz zrujnowanie stukilkudziesięciu ulic było właściwie kroplą w morzu pozostałych ulic i milionów istot ludzkich. Londyn, olbrzymi, nieruchawy, krzepki zarówno wzbierającym gniewem, jak i zdrowym humorem, uparty Londyn co rano „strzepywał sobie pył z ramion” i podejmował spokojnie swój business as usual.

W okresie owych dotkliwych nocnych nalotów Luftwaffe nie zaniedbywała również i dziennych ataków wiedząc, że tylkoienne zwycięstwo może naprawdę rozstrzygnąć bitwę o Brytanię. Po bolesnych ciągach, otrzymanych w sobotę dnia 7 września, nieprzyjaciel w niedzielę za dnia ucichł, jakby lecząc swe szczyby, za to w poniedziałek uderzył od nowa. Tracąc znów sporo maszyn, 52, żadnych korzyści nie odniósł. Następnego dnia znowu panował zacząjony spokój, po czym nadeszła gorąca środa, 11 września.

Wywiad brytyjski już od kilku dni obserwował gorączkowe a tajemnicze przygotowania po tamtej stronie Kanału. Wróg ścigał barki i koncentrował wojska. Zanosilo się na coś poważnego. Wszystko wskazywało na bliski zamiar wielkiej inwazji na Anglię. Zbliżała się decydująca godzina.

Prawdopodobnie by przyspieszyć tę godzinę, Luftwaffe wykonała dnia 11 września ostry atak powietrzny, jeden z najgwałtowniejszych w dotychczasowej kampanii.

Okolo czwartej godziny po południu kilka mniejszych zgrupowań wtargnęło na wyspę z różnych stron z widocznym celem — jak się niebawem okazało — zmylenia uwagi Brytyjczyków. Bo tymczasem kilka minut później nadeszła główna wyprawa i zmierzała w prostej linii na Londyn. Była to istna armada: składała się z okolo 60 bombowców, heinkli 111 i dornierów 215, których osłaniało z góry, z tyłu, okolo 40 messerschmittów 110, nad tymi zaś jeszcze wyżej i z tyłu — 50 messerschmittów 109. Z tą silną osłoną najeżdźcy postanowili przebić się swymi bombowcami do samego Londynu.

Nie przebili się w całości. Pomimo fortelu i potęgi rozszarpano bombowce po drodze. Dywizjon 303 odniósł tego dnia swe najliczniejsze zwycięstwo, bodaj czy nie rekordowe dla całego RAF-u, strącając w sile 12 maszyn w ciągu niespełna kwadransa 17 niemieckich samolotów.

Dywizjon szedł właśnie w kierunku południowo-wschodnim, prowadzony przez radio z ziemi, naprzeciw bombowcom i ujrzał je przed sobą w chwili, gdy były już mniej więcej 20 kilometrów w głębi Anglii. Dywizjon leciał wyżej niż bombowce lecz poniżej messerschmittów.

Sytuacja była wysoce drażliwa i po prawdzie istniała tylko jedna rozumna decyzja: uderzyć na nieprzyjacielską osłonę i starać się ją związać. Tym bardziej że inny dywizjon myśliwski, angielski, w tej chwili zjawił się na widowni nieco niżej i już szedł ku bombowcom, by im zatarasować drogę. Lecz brytyjski kapitan Forbes, dowódca pierwszego klucza, a zarazem prowadzący tego dnia cały dywizjon, postanowił inaczej: uderzyć również na bombowce pomimo szalonego ryzyka defilady pod dziewięćdziesięcioma messerschmittami.

Gdy pierwszy klucz, a za nim następne skrzyły w stronę bombowców i zbliżały się do nich na pełnym gazie, nastąpiło to, czego należało się obawiać: z góry zleciały messerschmitty. Lecz zanim mogły zaatakować kapitana Forbesa i jego dwóch bocznych, rzucił się przeciw nim drugi klucz z porucznikiem Paszkiewiczem na czele, osłaniając przednich towarzyszy jakby podniesionym ramieniem. Paszkiewicz — jeden ze znakomitszych myśliwców, a przy tym wspaniały towarzysz broni i człowiek charakteru — w mig zorientowawszy się, naprawił błąd dowódcy: Między jego trójką a kilkunastoma messerschmittami wywiązała się zażarta kotłowanina. Skorzystał z tego chaosu nie tylko pierwszy, czołowy klucz, lecz i trzeci, porucznika Arsena Cebrzyńskiego, który bokiem wyminął walczących i nie zaczepiony popędził ku bombowcom, w ślad za kapitanem Forbesem. Tymczasem znurkowały nowe messerschmitty, lecz wziął je na siebie ostatni klucz, czwarty, porucznika Henneberga.

Tak powstał jeden z najbardziej wstrząsających fragmentów wojny: sześciu myśliwców, walcząc rozpaczliwie o swe życie, zjadłością swą jakby potraj aj ac swe siły, powstrzymywało druzgocącą przewagę wroga. W normalnych warunkach powinni byli natychmiast ulec, rozszarpani w strzępy. Tymczasem nie ich, lecz oni szarpali wroga, i to było najdziwniejsze. Tak skutecznie paraliżowali szyki messerschmittów, że stwarzali nieprzebytą zapórę, pod którą drugich sześciu myśliwców mogło wpaść z impetem na wrogie bombowce. A równocześnie na czoło bombowców zwałił się cały świeży dywizjon dwunastu angielskich myśliwców przybyłych przed chwilą.

Wyprawa bombowców, wzięta w dwa ognie, nie wytrzymała uderzenia. Nie dlatego, żeby poniosła wielkie straty. Strat było stosunkowo mało: co prawda, kapitan Forbes zaraz na wstępie zestrzelił dorniera, sierżant Michał Brzozowski zrabował heinkla, sierżant Józef Frantyszek innego heinkla, a z przodu Anglicy zapalili również dwa czy trzy bombowce — lecz nie straty zaważyły. Zadecydowało przerażenie wroga.

Ufny w przytłaczającą przewagę swej osłony, nie liczył się z taką zuchwałością myśliwców przeciwnika. Zaskoczenie jego było zupełne. Uległ wstrząsowi, stracił głowę. Zaczął wypróżniać się pośpiesznie z ładunku bomb tak samo, jak to czynią wystraszone sępy z zawartością swych żołądków. Zrywając szyki, bombowce zaczęły uciekać jak furiany. Niektóre w stronę Francji, inne na oślep w stronę Irlandii. I chociaż w następnej chwili Messerschmitty z góry przysły z pomocą, by odegnąć diabelne hurricany i — odeгнаły hurricany, żadna moc nie zdołałaby już zatrzymać wszczętej paniki bombowców. Panika była ogólna i niepohamowana. Wielka wyprawa Luftwaffe rozpadła się w bezwładne części jak ciało trędowatego.

Dokonała tego nie tylko brawura osiemnastu hurricanów atakujących bezpośrednio bombowce, lecz przede wszystkim owych sześciu myśliwców Paszkiewicza i Henneberga, którzy przez kilkadziesiąt sekund — decydujących dla bitwy sekund — wstrzymywali i

dezorganizowali całą nieprzyjacielską osłonę. Rezolutne postanowienie porucznika Paszkiewicza, by we właściwej chwili uderzyć na messerschmitty, i śmiałe wykonanie tej decyzji były jak ziarna piasku rzucone w tryby olbrzymiej maszynierii: rozprężyły jej koła.

Po rozbiciu wyprawy, a tym samym jej unieszkodliwieniu, nastąpił drugi, końcowy okres walki, mianowicie pościg i tępienie uciekającego wroga. W pogoni brały udział już także i inne brytyjskie dywizjony, jak również tych sześciu myśliwców, którzy dotychczas walczyli z osłoną przeciwnika i jakimś cudem wszyscy szczęśliwie wyrwali się z uścisku messerschmittów. Była to osobliwa pogoń, bo wobec kilkakrotnej z początku przewagi Luftwaffe myśliwcy nie zawsze wiedzieli, kto kogo ściga.

I były to heroiczne zmagania: na rozległej połaci kraju, od Londynu aż po brzegi Kanału, polski myśliwiec jeszcze raz składał dowody swego niezwalzonego męstwa, twardej zawziętości i sprawności niepowszedniego pilota — szalał, budził podziw i zwyciężał.

Słał pola szczątkami wszystkich rodzajów nieprzyjacielskich maszyn, jakie były wtedy nad Anglią: niszczył heihkle, dornieri, messerschmitty 109 i messerschmitty 110. Dwóch myśliwców z „303” straciło po jednym samolocie, sześciu po dwa samoloty, siódmy miał trzy na rozkładzie. Sierżantowi Szaposznikowowi udało się prawdziwy dublet: dopędził z tyłu dwa messerschmitty 110, lecące blisko siebie, zestrzelił najpierw obydwóch tylnych strzelców, a potem nie przerywając ognia zmiotł prawie równocześnie obydwie maszyny. Inne dywizjony brytyjskie, które tymczasem przybyły, miały także niezłe żniwo.

Dwóch Polaków w tych walkach zginęło. Ginęli jak bohaterowie. Pierwszy, porucznik Cebrzyński, w chwili gdy na czele swego klucza nacierał na bombowce, ściągnął na siebie krzyżowy ogień niemieckich strzelców i ugodzony w głowę, poległ na miejscu. Drugi, sierżant Stefan Wojtowicz, kilka minut później zaatakowany przez dziewięć messerschmittów, bronił się jak żbik. Wróg pomimo przewagi nie mógł go przyłapać, a całej ludności miasteczka Bigginshill, przyglądającej się walce, z przejęcia zamierały serca. Dwie nieprzyjacielskie maszyny zniweczył, zanim reszta go pokonała, przeszywając pociskami, jak rzeszoto. Walka polskiego sierżanta przeszła angielskim miasteczku do legendy.

Myśliwcy z „303” zniszczyli, jak już wspomniałem, 17 maszyn, czyli przeszło jedną czwartą liczby 61 samolotów strąconych tego dnia przez inne dywizjony RAF-u. Ściganie przeciwnika nie było łatwe. O zajadłości walk świadczył wielki w porównaniu z innymi dniami odsetek strat brytyjskich: 24 maszyny i 17 poległych myśliwców.

Tak zakończył się walną klęską dzień hitlerowskich nadziei. Dzień „najbardziej krytycznego tygodnia w dziejach świata”. I dzień nowej chwały Dywizjonu 303. Garstka myśliwców, owych sławnych Churchillowskich „niewielu”, znów dzielnie spełniła swe zadanie: nieprzyjacielskie barki inwazyjne czekały daremnie na rozkaz...

A tej nocy, gdy jak zwykle niemieckie bombowce pod osłoną ciemności zbliżały się do Londynu, doznały nowej niespodzianki. Zaskoczyła je mordercza zaporą huraganowa artylerii przeciwlotniczej. Nagle setki dział zionęły ogniem. Żadnej bomby nie zdołano spuścić na Londyn. Stolica po raz pierwszy od kilku nocy spała spokojnie.

WRÓG TAŃCZY TANIEC ŚMIERCI

Myśliwi, doświadczeni myśliwi, znający knieję i obyczaje zwierzyny, wiedzą, na których ścieżkach się zasadzić. Myśliwcy, ci na hurricanach i spitfirach, tak samo znali szlaki swej ludzkiej zwierzyny i wiedzieli, gdzie ją najłatwiej przydybać: nad brzegiem Kanału, gdy zwierzyna zmęczona powracała z mniej lub bardziej nieudanej wyprawy z Anglii do Francji, myśliwcy z Dywizjonu 303 po wykonaniu swego zadania w zespole lubili pędzić nad brzeg Kanału i tu czatować. Był to przyjemny i pożyteczny sport w ich dywizyjnym żargonie nazywał się „metoda Frantiszka”.

Tak też postąpił podporucznik Tolo Łokuciewski owego sławetnego dnia 11 września, kiedy to „303” stracił 17 nieprzyjacielskich samolotów. Tolo należał do dzielnej szóstki, która wiązała i powstrzymywała tak skutecznie całą chmurę messerschmittów. Lecz w walce z jakimś „Adolfkiem” Łokuciewski miał ciężką przeprawę, oddalił się od dywizjonu i gdy wreszcie zestrzelił, był już niedaleko Kanału. Wracać do swoich nie miał po co; rozproszyli się po całym niebie. Więc było nie było, zaczął się w pobliżu wybrzeża.

Było warto. Po kilku minutach patrolowania zamajaczyła w oddali sylwetka dorniera 215, ciągnącego z głębi Anglii. Bombowiec był znacznie niżej niż samolot Tola i szedł prosto na niego. Myśliwiec zaśmiał się i twarz jego — a miał twarz jak młoda dziewczyna — rozpromieniała ze szczęścia: samotny bombowiec stanowił dla hurricana prawie że pewny łup.

Pierwszy atak z góry z przodu przy stromym nurkowaniu nie odniósł żadnego skutku. Widocznie Łokuciewski chybił w trudnej do celowania pozycji. Po wyminięciu dorniera myśliwiec wyciągnął swą maszynę do góry, zrobił skręt na plecy i teraz natarł na nieprzyjaciela dogodniej, z tyłu z boku. Najpierw przejechał się ogniem po jego kadłubie i zagłuszył tylnego strzelca. Bombowiec tymczasem usiłował ratować się rozpaczliwym skrętem. Daremnie. Już Łokuciewski wsadził mu kilka celnych serii w prawy silnik. Silnik zaczął kopać zrazu słabo, potem coraz mocniej. A potem nastąpiła rzecz wprawiająca myśliwca w struchlałe zdumienie. I w niemy zachwyty. Wróg zaczął wykonywać swój taniec śmierci. Jakaś pisaną woltami na niebie pieśń łabędzią. Jakiś menuet porażonego śmiertelnie obłąkańca.

Najpierw dornier poszedł w górę. Wzlotem ku niebu, gracioso, largando, niby patetyczna ucieczka od ziemskich przypadłości. Jego lotowi w górę nie było jakby końca. Im wyżej się wznosił, tym trudniej leciał, aż wreszcie gdzieś na niewidzialnym szczycie cały rozped zwiotczał, bombowiec przystanął w teatralnym geście zwątpienia. Chwila, i zaczął staczać się w dół, na lewym skrzydle, staccato, opacznie, już wyraźnie mdlejący. Potem ze skrzydła przechylił się miękko i bezwładnie na czoło i przeszedł w prostopadłą pikę. Stał się wyrazem opętanego szaleństwa, gdy pędząc w dół ku ziemi, pisał swój wyrok śmierci. Tak zlatywał gwałtownie kilka tysięcy stóp w kilku sekundach. Lecz jeszcze nie do końca.

W połowie spadku do ziemi wyszedł z nurkowania i skracając w bok, uniknął śmierci. Po linii jakiejś tajemniczej hiperboli wzbil się znów w górę, jak gdyby z nowym zapasem życia i energii, a że miał nieprawdopodobny rozmach, wzbijał się od nowa na nieprawdopodobną wysokość. Leciał niby na jakąś podniebną górę, niby na groteskowy wierzchołek — i wierzchołek, i samolot pełne niewymiernego patosu. Łokuciewski śledził ewolucje

bombowca z zapartym oddechem. Myśliwi mają silnie rozwinięty zmysł piękna w ruchu. Akrobatyka powietrzna jest przecież zasadą ich broni, ich akrobatyka zaś to właściwie taniec. To nieustanna improwizacja wdzięku, którego są wyraźnie świadomi. Więc Łokuciewski patrzył na niebywałe widowisko najpierw z podziwem, potem z rosnącym uniesieniem. Już dawno nie strzelał. Strzelać nie potrzebował. Odskokzył w bok i tylko pilnował. Wchłaniał oczyma urodę niesamowitych ruchów i smakował ich dziki czar. Lecz trwało to tylko chwilę. Łokuciewski powrócił do swej żołnierskiej duszy, a zachwyty jego przemieniały się w inną rozkosz, żołnierską rozkosz. Oto pyszny wróg, który tu przybył, by niszczyć i zabijać (a on wszędzie niszczył i zabijał, i w Polsce, i gdzie indziej), wyniosły wróg teraz tańczył przed nim, polskim myśliwcem, błędny taniec obezwładnionej czarownicy. Wróg, bezsilny w swej wściekłości i w swym przerażeniu, szamotał się i już nie mógł zerwać niewidzialnych sieci, w które go spętano. Zdawało mu się w zarozumiałości, że świat rozszarpie i wszystkich podepce, a oto sam był jak zwierz na uwięzi. Oto dzika bestia, ugodzona śmiertelnym harpunem, trzymana na magicznej linie, nie mogła się wyrwać, tańczyła jak wariat i tak w nieprzytomnym tańcu mimowolny hołd składała swemu zwycięzcy.

Łokuciewski domyślał się, co zaszło: nie tylko uszkodził silnik bombowca, lecz zapewne zranił ciężko pilota, który dzierżąc nadal ster w kurczowych dłoniach, konwulsje swej agonii przelewał na cały samolot. Łokuciewski nie spuszczał dorniera z oczu i chociaż różnolite refleksje zapalały jego wyobraźnię, kciuk jego czuwał niezmiennie nad spustem karabinów maszynowych, gotów rzucić na szalę nową serię pocisków.

Lecz nie było potrzeba. Był to ostatni taniec wroga, jego końcowy wzlot. Po dojściu w górze ponownie do punktu martwego, bombowiec cofnął się ześlizgiem na ogon i wpadł w korkociąg plecowy. Był to jeszcze jeden taniec z wysokiego nieba w pionową przepaść, był to długi różaniec zawrotnych piruetów, i wreszcie nieprzyjaciół dobiegł swego końca: samolot jego kilkaset metrów od lądu uderzył twardo o wodę, skaptował i zatonął wraz całą załogą. Morze zamknęło się nad nim jak teatralna kurtyna...

Z odległych krain wierni Mahometa ciągną pielgrzymką do Mekki i po drodze tańczą. Jeszcze dalsza niż do Mekki i jeszcze żmudniejsza była droga Polaków do Polski. Była kręta, zawila, wielotorowa, ciernista, chlubna i również usłana częstym tańcem. Tańcem śmierci. A gdzieś na jednym z tysięcznych zakrętów tej drogi sterczało jak biały kamień przydrożny skaliste wybrzeże Kanału Angielskiego, niemy świadek powietrznych tanów i niezwalzonego pociągu polskich myśliwców do „metody Frantiszka”.

SIERŻANT FRANTISZEK — DZIELNY CZECH

Ów zuchwały Czech wyrodził się ze swego narodu: nie był stateczny i nie był układny. Właściwie wyrodził się ze wszystkich ludzi naszego wieku: miał bujność romantyków, zar średniowiecza i był jak wulkan wyrzucający lawę nie tam, dokąd ludzie przywykli, że wyrzuca. Miał swe własne zbocza i swe własne chody. Takich ludzi jest dziś mało. Tacy ludzie albo giną jako zbrodniarze, albo zostają bohaterami. Józef Frantiszek stał się bohaterem.

Gdy hitlerowcy w marcu 1939 roku wkraczali do Pragi, on, czeski sierżant-pilot, był jednym z owej dzielnej garstki, która przeciw gwałtowi czynnie zaprotestowała: porwał samolot i poleciał do Polski. Uczynił to przeciw swym władzom, przeciw ogółowi i „zdrowemu” rozumowi: mógł być przecież żyć nadal skromnie i spokojnie, jak tyłu innych w Protektoracie. Lecz on nie chciał żyć spokojnie. Chciał walczyć. Musiał walczyć. Jego żywiołowa indywidualność i rogata natura nie mogła pomieścić się w ramach zaborczego totalizmu i hitlerowskiej niewoli. Więc Frantiszek, wierny sobie, odleciał do kraju przyszłych walk i odtąd swój los połączył z losami Polaków.

Przechodził całą ich gehennę. Tragiczny wrzesień i drogę do Zaleszczyk. Rumunię i bałkańską odyseję. Morze Śródziemne i Francję. Wciąż między nimi, wciąż jeden z nich. Nie tylko pobratymiec i nie tylko współsłowianin, lecz jak i oni zawzięty desperat. Były to najsilniejsze więzy: razem z Polakami szukał rozpaczliwie nowej broni przeciw wspólnemu wrogowi i szukał nowego pola bitew. To ich łączyło.

Znalazł jedno i drugie we Francji. Niestety, jak wiadomo, krótkotrwały ogień francuski ledwo zapłonął, zgasł. Lecz w tym krótkim czasie zabłysnął inny płomień, sławy Frantiszka. Płomień niegasnący. Czech pokazał, kim jest: kapitalnym pilotem, i pokazał, jak umie zestrzeliwać nieprzyjaciół. W powietrznych walkach nad Belgią i Szampanią stracił 10 maszyn⁵ Luftwaffe w ciągu trzech tygodni. Potem nastąpił upadek Francji, znów wytrącenie broni z rąk i znów desperackie jej szukanie. Więc Bordeaux, Zatoka Biskajska, Anglia.

W Anglii losy sprzęgły Frantiszka z Dywizjonem 303 już raz na zawsze, na życie i na śmierć. A przede wszystkim na zwycięskie boje. Brał wybitny udział we wszystkich większych bitwach dywizjonu. Począwszy od drugiego września, co drugi, trzeci dzień odnosił zwycięstwa i zawsze rozkładał to jednego, to dwóch, czasem trzech wrogów w ciągu jednego startu. Nigdy prawie nie wracał bez wyniku. Jakiś triumfalny pochód zwycięstw od lotu do lotu.

Któregoś dnia, było to w początkach walk, zaszedł nieprzyjemny zgrzyt. Dowódca klucza, w którym leciał Frantiszek, nie zginął tylko o włos z winy sierżanta. Podczas ataku na kilka messerschmittów dowódca stwierdził z osłupieniem w ostatniej chwili, że z boku nie było Frantiszka, który ni stąd, ni zowąd opuścił szyk i gdzieś się zawieruszył. Pokrzyżowało to cały plan ataku i zmusiło resztę klucza do gwałtownego wycofania się z niebezpieczeństwa. Gdy Frantiszek wrócił z tego lotu do bazy, okazało się, że po odłączeniu

⁵ Prasa brytyjska w jesieni 1940 r. donosiła nawet o jedenastu niemieckich maszynach zestrzelonych przez Frantiszka we Francji, lecz dla ścisłości należy wspomnieć, że jeden z wybitniejszych myślicieli Dywizjonu 303, w 1965 r. wyraził pewne wątpliwości co do liczby tych zestrzeleń we Francji, (przyp. aut.)

się od klucza zestrzelił w pobliżu Kanału dwa nieprzyjacielskie samoloty.

Lecz gdy w dniach następnych powtarzały się podobne ucieczki z szyku, rzecz nabrała niepokojącej wagi. Karność w zespole jest nieodzowną podstawą powietrznej walki. Dowódca — obojętnie: klucza, dywizjonu czy skrzydła — musi bezwzględnie polegać na swych myśliwcach lecących za nim, ażeby wykonać w zespole polecone zadanie. Inaczej nie ma zwycięstwa. Inaczej grozi rozprzężenie i nieład kupy. Frantiszek wprowadzał nieład.

Po nowym odskoku zawezwany do raportu przed oblicze Urbanowicza, który wtedy był polskim dowódcą Dywizjonu 303, Frantiszek stanął przed przełożonym wyprężony jak struna. On zawsze stawał jak struna: był przystojnym, młodym mężczyzną o śmiałym oku i ujmującej twarzy. Tłumaczył swe postępowanie tak: ujrzał daleko z boku skurczybyka z czarnymi krzyżami i nie mógł wytrzymać. Musiał podskoczyć. Porwało go, omotało go. Podskoczył i zestrzelił...

— Panie kolego! — oświadczył Urbanowicz swym spokojnym, chociaż przenikliwym jak stal głosem. — Dywizjon jest naprawdę rad, że ma tak świetnego myśliwca, lecz przy tym nie zapominajmy o jednym: że jesteśmy żołnierzami i jako tacy mamy spełnić swój obowiązek. Stanowczo proszę: nie wolno opuszczać szyku przed walką!

— Rozkaz, panie kapitanie!

Brzmiało to szczerze i w istocie Frantiszek był wtedy szczerzy. Przez dwa dni wszystko odbywało się w najlepszym porządku. Potem diabeł znów się wmieszał i Frantiszek powrócił do starego nałogu. Na wysokości 15 000 stóp ogarniał go niepokój, na wysokości 18 000 stóp sierżant ulegał pokusie. Znikał i spieszył nad Kanał.

Nad Kanałem miał raj: czyhał tam na wrogów, którzy byli w głębi Anglii i tędy musieli powracać. Powracali przeważnie rozbici, często postrzelani, zawsze na resztkach paliwa. Łatwo ich było tu wyłapywać i dobijać. Angielskie wybrzeże Kanaru stawało się dla nich prawdziwym progiem śmierci.

„Metoda Frantiszka”, jak nazywano w dywizjonie owo polowanie nad brzegiem Kanaru, miała wielu amatorów wśród Polaków i Brytyjczyków z innych dywizjonów. Ale była między nimi a Frantiszkiem pewna różnica: podczas gdy ci myśliwcy pędzili nad Kanał dopiero po walce i po wykonaniu bojowego zadania, Frantiszek, choć często walczył jak oni u ich boku, jednak częściej nie chcąc tracić czasu, rwał nad wybrzeże zaraz po wzbiciu się w powietrze.

Była to jego mania, jego cichy szal, niezwyciężona choroba, nieodparta pasja. W grę wchodziła nie tylko ambicja pokonania jak największej liczby wrogów; tkwiło to głębiej, w samej strukturze duchowej Frantiszka. Kompan dobry przy kieliszku, kolega uczynny w każdej okazji, kochanek dla dziewczyn czuły i szczodry — w powietrzu musiał wyżywać się sam, sam jeden. Tam nie uznawał towarzystwa, nie znosił skrupowania, zrywał więzy. Był u góry, jak bywają wielkie orły: samotny, drapieżny i zazdrosny o przestrzeń. Nie chciał dzielić z nikim powietrza ani zwycięstw.

Postępowanie Frantiszka podkopywało oczywiście karność dywizjonu. Był to coraz trudniejszy problem dla dowództwa. Czyżby usunąć z dywizjonu tak znakomitego asa, przysparzającego formacji tyle chwały? Wyraźnie zanosilo się na tę ostateczność, gdyby w końcu dowództwo nie powzięto decyzji iście salomonowej, takrozumnej i tak zarazem wielkodusznej: czeskiego sierżanta Polacy uznali za gościa dywizjonu. Gościowi pozwalano na niejedną swobodę. Dodatnie skutki tej mądrej decyzji ujawniły się natychmiast: myśliwcy-koledzy odetchnęli z ulgą. A Frantiszek? Frantiszek zareagował na swój sposób: następnego dnia sprzątnął trzy nieprzyjacielskie maszyny.

Znane stało się jego oświadczenie, gdy pewnego razu lądował przymusowo na którymś z lotnisk południowej Anglii. Powiedział do nadbiegających Anglików:

— I am Polish!

Frantiszek nie był odstępcą narodowym i zawsze czuł się Czechem. Wypowiadając powyższe słowa, podkreślał tylko swą istotną przynależność do polskiego dywizjonu i stwierdzał dobitnie, że jest duszą i ciałem z Polakami.

I rzeczywiście był z nimi sercem i duszą. Ich temperament odpowiadał najlepiej jego wybujałej naturze. Anglicy, dla których był jakąś na pół legendarną zjawą, zachwycali się nim i czynili wszelkie starania, by ściągnąć go do swych dywizjonów. Na nic. Frantiszka nie nęciły widoki przywilejów ani awansu. Chciał być między Polakami, w ich sławnym już Dywizjonie 303, i rzecz zdumiewająca — nie pociągał go nawet tworzący się czeski dywizjon myśliwski.

Frantiszek, ma się rozumieć, był niezrównanym pilotem i strzelcem. Że posiadał przy tym wyjątkową przytomność umysłu i błyskawiczność działania, świadczyło zajście, jakiemu przyglądało się całe lotnisko angielskie.

Kiedyś, w czasie walki nad Kentem, przygrzał tak siarczyście jakiemuś messerschmittowi 110, że przeciwnik dał znaki, iż chce poddać się i wylądować na pobliskim lotnisku. Wobec tego Frantiszek przestał strzelać. Messerschmitt opuścił podwozie i schodził nad samo lotnisko. Lecz był to tylko podstęp. W chwili gdy messerschmitt kołami dotykał już prawie ziemi, dał nagle pełnego gazu i zerwał się w górę jak sprężyna. Niedaleko uciekł. W tej samej nieledwie chwili otrzymał tak celną serię pocisków od Frantiszka, że spadł jak ścięty kłos i rozbił się jeszcze na samym lotnisku — nowe ogniwo do sławy dzielnego sierżanta.

Pod koniec września coś zaczęło się psuć w systemie nerwowym Frantiszka. Rozstrój jego przybierał dziwaczną formę: myśliwiec bał się ziemi. Latał wiele, więcej niż dotychczas, gdyż tylko w powietrzu czuł się bezpieczny. Na ziemi bywał przewrażliwiony. W czasie nocnych nalotów niemieckich zrywał się na lada odgłos syren i pierwszy pędził do schronu, on, który dawniej śmiał się z takich środków bezpieczeństwa.

Nowa mania chwyciła go równie mocno jak wszystkie poprzednie i było w tym rzeczywiście coś wstrząsającego, godnego najgłębszego współczucia: junak, który z niesłychaną brawurą i z najzimniejszą krwią rzucał się w powietrzu na wroga, wracając w chwilę później do swej bazy, bał się ziemi. Bał jej się coraz bardziej, jak gdyby ziemia była demonem mszczącym się na człowieku za to, że tak bezgranicznie ukochał powietrze. W duszy pełnej namiętnych impulsów, w duszy niezwykłego myśliwca rodziła się tragedia, której epilog nastąpił niezadługo, dnia 8 października. W owym dniu Frantiszek, wracając z bojowego lotu, zaczępił nieopatrznie skrzydłem o kopiec w czasie wykręcania tradycyjnej „beczki” i rozbijając maszynę, zginął na miejscu. Działo się to ponoć przed domem jego bogdanki, mieszkającej w Ruislip, w pobliżu lotniska w Northolt.

Tak zginął od ziemi, jak się tego obawiał, jeden z najwybitniejszych asów tej wojny, sierżant Józef Frantiszek, który strącił 27 maszyn nieprzyjacielskich: 10 we Francji, 17 w Anglii. Kawaler Croix de Guerre, Distinguished Flying Medal, Krzyża Walecznych i Virtuti Militari. Niezlomny Czech, który po upadku swej ojczyzny szukał oparcia w Polsce; czołowy myśliwiec czeski, który tylko w gronie polskich myśliwców walczyć chciał i walczył: on i oni pokazali na najważniejszym odcinku życia, bo w rozstrzygającej walce z zawziętym wrogiem, jak Polak z Czechem mogą stanąć społem, ramię przy ramieniu, czynnie i zwycięsko — pokazali to już na długo przedtem, zanim zielony stół dyplomatów wykreślił zręby przyjaźni polsko-czeskiej.

SZARE KORZENIE BUJNYCH KWIATÓW

Jeżeliby otworzyć duszę polskiego myśliwca i zajrzeć do jej głębi, znalazłoby się w niej wiele uczucia nie tylko i nie zawsze do kolegi-myśliwca, mimo że łączyły ich wspólna walka i wspólny los życia — zawsze natomiast zobaczyłoby się najtroskliwszą miłość i szczerą przywiązanie do szarej grupy żołnierzyków noszących ogólne miano ziemnej obsługi dywizjonu myśliwskiego. Im, mechanikom, oddał myśliwiec swe najtajniejsze uczucia, im zawdzięczał prawie więcej niż koledze-pilotowi: bo i życie, i zwycięstwa, i swą chwałę.

I swe bezgraniczne zaufanie do samolotu. Gdy myśliwiec leżał w pogotowiu bojowym, rozwalony na tapczanie, ubrany już do lotu w kombinezon pilota i w kamizelkę „Mae West”, i drzemiąc oczekiwał telefonicznego rozkazu do startu — był wtedy dziwnie spokojny i odpoczywał w beztrójce. Tam u góry czekało go groźne, niezmiernie Nieznane. Lecz myśliwiec nie bał się go i był spokojny. Bo był silny. Silny świadomością, że gdy odpoczywał, dokoła jego samolotu działo się wielkie misterium pieczołowitości i obowiązku: nieustanna opieka mechaników. W chwili startu mechanicy dostarczali mu maszynę, na której polegać mógł bezwzględnie, nieomylnie, i wiara ta w niezawodność broni stawała się ręką jego zwycięstwa.

Gdy myśliwiec wracał z walki, a miał powodzenie, obwieszczał swym mechanikom radosną nowinę zuchwałą beczką wykreconą nad ich głowami. To był dla nich znak i jakoby hołd. Gdy w chwilę później samolot kołował, dla nich przeznaczony był podniesiony kciuk i roześmiana twarz myśliwca. Im przypadały jego pierwsze wrażenia z walki i — rzecz dziwna — ich to rozpierały największa duma, zadowolenie i szczęście. Jak gdyby sami odnieśli zwycięstwo. Mieli rację: zwycięstwo odniósł ich samolot, ich ręką naprawiany, ich dotykem wypieszczony.

Myśliwca i mechaników przenikało jedno wspólne, głębokie uczucie; on i oni kochali zapamiętały swój samolot. Lecz ich kochanie nie było jednakie: podczas gdy mechanicy wszystko w tej miłości dawali, nic w zamian nie biorąc, on, myśliwiec, przeciwnie, wszystko brał, tylko brał: porywał samolot jak pannę w górę, promieniał zwycięstwami, zbierał laury. Był jak okazały kwiat albo ponętny owoc, który budził głośny podziw i dla którego były pieśni, zaszczyty, słońca. Oni, mechanicy, byli jak skromne korzenie tego kwiatu, niezbędnie potrzebne co prawda do jego rozkwitu, lecz zacienione, bez promieni. I bez zaszczytów. Po prostu: szare korzenie.

Nie było chyba innego rodzaju broni, w którym by tyle znaczyły owe szare korzenie, jak w lotnictwie. Gdy myśliwiec po dokonanej locie wychodził z maszyny, już wcale nie troszczył się o jej losy aż do następnego startu i rzucał ją jak gdyby w ramiona mechaników. Teraz przychodziła na nich kolej, ich hymn, ich wysiłek, ich ochocza, a jakże odpowiedzialna służba. Bo nie tylko trzeba było jak najszybciej uzupełnić amunicję, napełnić zbiorniki benzyny, oliwy, glikolu, wymienić butle tlenowe, wsadzić nowe akumulatory, nasycić prądem elektrycznym przyrządy pokładowe — to jeszcze nie wszystko: skomplikowany zwierz mógł być chory. Przed chwilą” wykonał w powietrzu straszliwe wolty, w karkołomnym wysiłku wyprężył swe stalowe mięśnie — może się oberwał? Miewał, jak ludzie, swe ukryte choroby, zdradzieckie, niebezpieczne, gorsze niż otwarte rany zadane pociskami wroga.

Więc mechanik rzucał się na samolot z całą pasją swej troskliwości i badał. Opukiwał, obmacywał, węszył, słuchał i wnikał – rzekłbyś: nie zwykły żołnierz, szeregowiec czy kapral, lecz lekarz-specjalista chorób metalowych, świadomy tego, że od jego zręczności i spełnienia obowiązków zależały zarówno życie pilota, jak i zwycięski wynik jego następnej walki.

Obok polskiego myśliwca, który zadziwił świat swą dzielnością, stanął godnie polski mechanik. Niedościgniony w swej zręczności, o niebo zdolniejszy od wielu obcych mechaników, zadawał kłam legendzie, że Polak to wyłącznie dobry rolnik.

A tymczasem już stary Henryk Ford, podkreślając zmysł wynalazczości Polaków, wychwalał ich jako najinteligentniejszych mechaników w swych zakładach. Nie mylił się.

I teraz także zdali egzamin życia. Przedzierali się jak inni polscy żołnierze przez granicę, przeszli epizod francuski, przybyli do Anglii. Tutaj już po trzech tygodniach — zjawisko fantastyczne — poznali na wskroś tajemnice hurricana i dokonywali na nim wszelkich zabiegów, jak gdyby na wieloletnim znajomym.

Był to fakt niezbity, zresztą wyraźnie potwierdzany przez myśliwców, że wspaniałe zwycięstwa we wrześniu 1940 roku Dywizjon 303 zawdzięczał w wielkiej mierze swym mechanikom. Ich śmiałości, rozwadze, sprawności, poświęceniu. Bywały ciężkie uszkodzenia samolotów, wymagające odesłania maszyn do fabryk, a jednak naprawiane w warsztacie dywizjonu. Przy innej normalnej obsłudze dywizjon już w połowie mniej więcej września przestałby walczyć z braku maszyn. „303” ani na chwilę nie przestał walczyć. Co więcej, pomimo prawie codziennych walk zawsze startował od nowa w pełnym składzie dwunastu maszyn (stąd także rekordy dywizjonu!), z wyjątkiem tylko czterech wypadków: w dwóch z nich wypuścił 9 samolotów, w jednym 6, czwarty wypadek to w sławnym dniu 15 września.

W owym dniu w pierwszym starciu wyruszyło dwanaście maszyn, w drugim starciu dziewięć, w trzecim, pod koniec dnia, zaledwie cztery maszyny. Podczas tego trzeciego lotu już nie napotkano nieprzyjaciela nad Anglią. Luftwaffe była rozgromiona. Lecz wieczorem, po zwycięskim dniu, samoloty dywizjonu przedstawiały żałosny obraz zniszczenia. Dziesięć maszyn było niezdatnych do lotu. Miały przeróżne skaleczenia, postrzelanych kilka sterów, rozbite chłodnice glikolu; zerwane linki stewe, podziurawione” skrzydła i maski silnikowe, nawet śmigłom porządnie się dostało. Któryś z samolotów miał naderwane skrzydło z podłużnicą przy przejściu do kadłuba.

Szkody przekraczające wyraźnie siły dywizjonowego warsztatu. A jednak mechanicy nie stracili otuchy. Na lotnisku mniemano, że nazajutrz nieprzyjaciel powróci z jeszcze większą potęgą. Mechanicy zrozumieli, ile od nich teraz zależało. Zabrali się do dzieła. Pracowali całą noc. Bez rozkazu: w takich chwilach rozkazy były zbędne. Chodziło już nie o ich osobistą ambicję, chodziło o samo istnienie dywizjonu. Ponościła ich gorączka natchnienia. Mieli skrzydła u rąk. I dokonali. Rzecz nieprawdopodobna, na ludzki rozum niepojęta, stała się: świtaniem 16 września znów 12 maszyn było gotowych do bojowego startu.

Dzień chwały brytyjskich i polskich myśliwców był również dniem chwały polskich mechaników.

Ich kierownik, porucznik-inżynier Wiórkiewicz, był znakomitym konstruktorem w dawnych polskich zakładach lotniczych. Charakter czysty jak łąza, człowiek-dusza, niezwykle uczynny dla każdego, o ujmującej serdeczności, a przy tym wybitny fachowiec i fanatyk pracowitości. Gorzał w nim nieustający płomień. Zapał jego nie znał zmęczenia. Taki człowiek miał wszelkie właściwości, by porwać ludzi do czynu — i porywał. Trudno ująć zasługi inżyniera Wiórkiewicza dla Dywizjonu 303: były tak wielkie, że niepomierne. Trudno wyobrazić sobie zwycięski „303” bez niego i bez takich mechaników.

A jednak — jednak mechanicy to szare, w kąć wciśnięte korzenie. Żołnierze, lecz jakby późniejszego gatunku. Przed wojną na mechanika lotnictwa gotów był patrzeć przez ramię

lada zadufany w sobie, a nie orientujący się piechur czy ułan, czy artylerzysta. Dziś już inaczej patrzył. Wojna nauczyła go szanować mechanika. Zmienił swe poglądy, lecz nie zmienił się wciąż jeszcze duch przepisów wojskowych. A według ich staroświecczyny mechanicy to żołnierze jakby drugiego rzędu: za ich służbę mechanika — żadnych zaszczytnych odznaczeń. Zamknięte były przed nimi Virtuti Militari i Krzyż Walecznych.

Klauzula tych dekoracji wyraźnie podkreślała, że żołnierz otrzymywał je za czyny „w obliczu wroga”. Tymczasem, jak wiadomo, lotniska musiały leżeć z daleka od frontu walki, jeżeli miały wykonać z powodzeniem swoje bojowe zadanie. A więc wielotysięczna armia mechaników — każdy dywizjon miał 150 do 200 żołnierzy obsługi ziemnej — nie spełniała (i nigdy spełnić nie mogła) tego podstawowego warunku i nie miała prawa do odznaczeń. W jakimś tragicznym splocie nieporozumień nie miała tego żołnierskiego prawa, pomimo że właśnie od niej, rzeszy mechaników, zależały wyniki rozstrzygających bitew i zależało, śmiało można to powiedzieć, ostateczne zwycięstwo w tej gigantycznej wojnie.

Lecz nie dla nich, mechaników, były krzyże. Chyba że w karygodnym zaniedbaniu inni popełnili błędy i dopuścili wroga do lotniska. Chyba wtedy, gdy nad lotniskiem przypadkowo pojawił się nieprzyjacielski bombowiec i zrzucił bomby na mechaników. Wtedy — tak, zadość stało się warunkom. Wtedy, za niestracenie głowy w kilkusekundowym chaosie, tak: odznaczenia. Natomiast za nieustanne poświęcenie i znoj, za sprawność morderczej broni, za istotny udział w decydujących zwycięstwach — nic.

Odznaczenia wojskowe — nie tylko polskie, lecz wszystkich armii — powstawały w owych czasach, kiedy jeszcze szabla, dosłownie, decydowała, i gdy wojny wygrywało się jedynie, wyłącznie i jedynie, w heroicznym starciu wręcz z wrogiem, pierś o pierś. Jakkolwiek w dzisiejszej wojnie owo starcie wręcz pozostało nadal ważnym czynnikiem zwycięstwa, nie było przecież jedynym; doszły inne czynniki, również ważne i nieodzowne.

Front bojowy uszykował się dziś w głąb nie znaną dawnym sztabom; wtargnął w nie śnione dawniej dziedziny, rozwalił skostniałe bożyszcza starych pojęć o wojnie, i nawet pojęcie cnoty wojskowej uległo, tak samo jak dzisiejsza strategia, rewolucyjnym przemianom. Dawniej liczyło się jedynie dynamiczne męstwo wyładowujące się właśnie w starciu pierś o pierś; dziś, w totalnej wojnie, w której między pierś a pierś stawały tysiące ton żelaza, a poza tym nowe, straszliwe arsenały broni psychicznej — dziś równie ważne, jeżeli nie ważniejsze dla ostatecznego wyniku, było potencjalne męstwo. Ukryte męstwo wojennej maszyny zaplecza. Nikt nie odmawiał prawa do najwyższej zasługi wojskowej ficerom zwycięskiego sztabu, jeśli ich praca przyczyniła się do leski wroga — mimo iż pracę swą wykonywali daleko poza właściwym frontem walki. Tak samo było z mechanikami lotnictwa: ich praca, mimo że za właściwym frontem spełniana, przyczyniała się istotnie, najbardziej istotnie do klęski wroga. I nie tylko praca ich, lecz praca całej obsługi ziemnej. Bo trzeba się było z tym raz na zawsze pogodzić: dywizjon myśliwski dzięki swej fenomenalnej zwrotności i potędze ognia miał skuteczniejszą siłę uderzeniową, niż miała ją jakakolwiek brygada piechoty w 1914 roku. Jeżeli Dywizjon 303 sprawił swymi zwycięstwami, że w istocie, jak powiedział generał Sikorski, imię polskiego żołnierza dźwięczało donośnie i godnie na całym świecie, to dlatego że wszyscy, wszyscy w tym dywizjonie spełniali swój obowiązek z jakąś niebywałą ofiarnością. Że do zwycięstw myśliwców przyczyniali się walnie zarówno mechanicy, jak i ów adiutant, opiekuńczym „tata” zwany, jak i lekarz, doktor Zygmunt Wodecki, swych ranionych myśliwców zgarniający z całej południowej Anglii, jak i kapitan Giejsztoft, pełniący odpowiedzialną służbę operacyjnej radiolokacji.

Im wszystkim należała się najgłębsza wdzięczność. Należały się najwyższe odznaczenia: wymagały tego i honor wojska, i najprostsze, ludzkie poczucie sprawiedliwości.

LOTNIK BEZ LĘKU I SKAZY

Często się słyszało, że ostatnia wojna w powietrzu nie stwarzała wybitnych asów, że to była wyłącznie wojna zespołów. Owszem: wojna zespołów. W 1940 roku ławą walczyły dziesiątki samolotów, w późniejszym okresie wzbijały się setki, a jeszcze później, pod koniec wojny, rozstrzygały już tysiące maszyn. Owszem, wszystkie walki powietrzne rozpoczynały się zespołem. Lecz już w następnej chwili starcia szyki szły w rozsypkę, poszczególni myśliwcy nacierali na poszczególne bombowce czy na myśliwców, powiedziano: pierś o pierś, i następowała rzecz jak gdyby paradoksalna: najnowocześniejsza broń, samolot, nawracała do taktyki średniowiecza i w szeregu heroiczych pojedynków rozstrzygała wynik walki. Tu, w powietrzu, zwyciężała najtęższa indywidualność, obojętne: sierżanta czy pułkownika; przy życiu pozostawała najsprężystsza jednostka. I w tych najbardziej osobistych zmaganiach wzbijały się najtwardsze jednostki: asy.

Niektórzy myśliwcy Dywizjonu 303, jak Henneberg, Paszkiewicz, Zumbach, Ferić, Łokuciewski, Daszewski, Szaposznikow, Karabin, Frantiszek — to bezsprzecznie asy. Ich liczne zwycięstwa to nie przypadek. I nie przypadek, że najwybitniejszym z nich był Witold Urbanowicz, zwycięzca w siedemnastu spotkaniach z wrogiem.

Kto go osobiście znał, stawał przed jakąś zagadką. Nie sposób było ująć Urbanowicza w utarte kanony; wrywał się z ludzkiego doświadczenia. Wszystko u niego było jak u innych myśliwców, mocna postawa i energiczna twarz, i czyste oko, a jednak wyczuwało się, że to jeszcze nie wszystko. Wyczuwało się coś zgoła nowego, jakiś nie napotkany dotychczas rys ludzki, bez przeszłości, bez porównań. A potem nagle przychodziło jakby olśnienie: metal. Tak, było to wyraźnie upersonifikowanie metalu. To nerwowa stal. Błysk w jego jasnych oczach, dosadny dźwięk jego słów, rzeźkość jego ruchów — to jakby aluminium, lekkie a mocne, które, przybierając duszę i ciało, stworzyć musiało właśnie taki, a nie inny wyraz życia. Nie dziw, że Urbanowicz i samolot stanowili tak zgraną ze sobą spójnię.

Był jak większość myśliwców Dywizjonu 303 żołnierzem służby czynnej, kapitanem Wojsk Polskich, a squadronleaderem, czyli majorem w armii brytyjskiej. Miał w 1940 r. lat 34. Jako żołnierz zapisał jedną z najchwalebniejszych kart spełnionego obowiązku w ponurym wrześniu 1939 roku. Będąc instruktorem i wychowawcą w Centrum Wyszkożenia Lotnictwa, po wybuchu wojny dostał rozkaz przedarcia się ze swym plutonem pięćdziesięciu podchorążych do Rumunii dla przeszkolenia ich tam na francuskich maszynach. Wraz z plutonem przekroczył granicę 17 września, lecz po ulokowaniu swych żołnierzy w bezpiecznym miejscu sam natychmiast wrócił do Polski, by walczyć. Był to, niestety, już koniec. Dostał się do niewoli, tejże nocy uciekł, przekroczył znów granicę i dogonił po trzydniowej nieobecności swych podchorążych.

Następne tygodnie to odyseja forteli, kluczeń, aresztowań i ucieczek, bezustannych ucieczek, skomplikowanej strategii, której duszą wciąż był Urbanowicz, aż w końcu udała mu się rzecz niemal cudowna: wszystkich swych żołnierzy załadował szczęśliwie w lukach na statku w Konstancy. Popłynęli do Syrii, stamtąd do Francji i tu Urbanowicz, przykładowy dowódca i niezmordowany opiekun, władzom polskim oddał prawie w komplecie swój oddział przedstawiający najcenniejszy materiał bojowy. Należał więc Urbanowicz do dowódców, którzy w owych ciężkich czasach z sercem i z obowiązkowością opiekowali się

swym żołnierzem.

W styczniu 1940 roku posłano go do Brytanii.

Pierwszego wroga zestrzelił w połowie sierpnia tegoż roku, należąc wtedy jeszcze do jednego z brytyjskich dywizjonów. W owym dniu zgłosił się do lotu na ochotnika i leciał jako trzynasty na końcu dywizjonu, ubezpieczając od tyłu swych towarzyszy. Było to nad morzem, w pobliżu Portsmouth. Nieprzyjaciel był już przed nimi nad portem, gdy Urbanowicz spostrzegł poza sobą cztery messerschmitty — trzy z prawej strony, jeden z lewej — doganiające dywizjon z dwóch stron od tyłu. Wtedy po raz pierwszy w obliczu wroga myśliwiec złożył dowody, jak trafnie umiał decydować w trudnej sytuacji i jak błyskawicznie działać. Złe pociągnięcie mogłoby wówczas skończyć się fatalnie dla niego i dla dywizjonu. Urbanowicz tymczasem powziął jedyną, kapitalną myśl: rzucił się najpierw naprzeciw trzem messerschmittom tak gwałtownie, że przeraził ich i rozbił całą trójkę, po czym ostrym skretem uderzył na czwartego, który nie przyjąwszy walki wołał uciekać.

Nastąpił pościg pełen szaleństwa. Punktem kulminacyjnym była chwila, gdy przeciwnik wpadł w grupę kilkudziesięciu kołujących powoli messerschmittów, a Urbanowicz za nim. Odkonczyło się to tak piorunująco, że nikt nie zdążył Polaka zaczepić i już obydwoj byli poza tym mrowiskiem. Uciekający wszystko wyczyniał, by się uwolnić od prześladowcy, lecz daremnie. Dosięgły go wreszcie pociski z hurricana i zwały do morza.

Już owa pierwsza walka uwypukliła wszystkie zalety Urbanowicza, którymi zasłynął w dalszych triumfach: trafność decyzji, szybkość reakcji, odwagę i zaciekłość.

Krótko potem myśliwiec wszedł w skład Dywizjonu 303, a po ciężkim poparzeniu jego dowódcy, majora Krasnodębskiego, w dniu 5 września Urbanowicz stanął na czele dywizjonu. Wtedy właśnie „303” rozpedzał się do swych wielkich lotów, a wraz z nim i Urbanowicz zdobywał swe laury. Więcej nawet: gdy w drugiej połowie września Luftwaffe wyraźnie osłabła i objawy zmęczenia widoczne były po obydwóch stronach, wtedy dopiero Urbanowicz rozwijał najszerzej swe skrzydła i ujawniał niezwykłą wytrzymałość, właśnie ów aluminiowy hart. I jeszcze coś innego: drapieżność jak gdyby mitycznego ptaka. W trzech dniach, w bliskich od siebie odstępach, stracił 9 niemieckich maszyn. Zwłaszcza ostatni dzień, 30 września, obfitował w epickie momenty.

Nad południowym Kentem Urbanowicz podówczas poprowadził dywizjon przeciw 30 nieprzyjacielskim bombowcom i rozbił ich zgrupowanie. Sam zaatakował dorniera 215, który lekko dymiąc czmychnął do chmury. Nastąpił pościg niby gra w chowanego i dornier tak umiejętnie wykorzystywał różne chmurki, że coraz bardziej oddalał się od myśliwca. Nad Kanałem wpadli w szeroki pas czystego powietrza i tam dopiero myśliwiec szybko zbliżył się do postrzelonego przeciwnika.

Lecz niedaleko ujrzał dwa messerschmitty lecące również do Francji i jakkolwiek znalazły się tu przypadkowo, obecność ich uniemożliwiła Urbanowiczowi wykończenie bombowca. Więc wprawdzie zbliżył się z tyłu do myśliwców, nic nie przeczuwających, na odległość kilkudziesięciu metrów — umyślnie tak blisko, by nie mogli go bezpośrednio atakować — długą serią pocisków zapalił przedni samolot i zanim drugi się spostrzegł, również trafiony spadał już do morza. Droga do bombowca była otwarta.

Tymczasem dornier zbliżył się do wybrzeża francuskiego i obniżył swój lot. Urbanowicz za nim; lecz na razie nie strzelał obawiając się, że nie starczy mu amunicji. Jedynie trzymał się wciąż blisko przeciwnika wyrwywającego na wsze strony w rozpaczliwych, zygzakowatych unikach. Tylony strzelec bombowca milczał, widocznie już poprzednio unieszkodliwiony. Dornier w panice zeszedł do lotu koszącego i chciał wylądować na jakimś polu. Wtedy krótka seria z hurricana: bombowiec lądując rozbił się o ziemię i stanął w płomieniu. Tak zginął z ręki Urbanowicza trzeci w kilku minutach wróg, a w ogóle jego siedemnasty. Gdy w kilka dni

później dywizjon odszedł na bardziej odległe, wypoczynkowe lotnisko, Anglicy, pełni dla Urbanowicza uznania, nie chcieli z nim się rozstawać nawet na ten czas przejściowy i zatrudnili go w swym dowództwie Grupy Myśliwskiej.

Nie ulega wątpliwości, że Urbanowicz przedstawiał krystalizujący się typ nowego żołnierza. Z żołnierską, uczciwą żarliwością wchłaniał w siebie istotę metalu i stwarzał nowy stop, zdrowy, tęgi, zdobywczy, a bynajmniej nie wyzbyty cech ludzkich. Unerwione aluminium, w którym biło żywe, ludzkie serce. Dlatego Urbanowicz stanowił tak ciekawy typ człowieka nowoczesnej techniki i dlatego może Anglicy, wyczuwając to, tak o niego zabiegali.

I nie tylko Anglicy. Angielki również.

MIT MESSERSCHMITTA 110

W pierwszych miesiącach wojny hitlerowcy przez umiejętne filtry swej propagandy wpajali skutecznie w umysły zatrwożonego świata (i nie mniej zaniepokojonych Aliantów), że mają w zanadrzu nową, straszliwą niespodziankę dla przeciwnika w postaci supersamolotu, szczytu wynalazczości, maszyny nad maszynami. Coś w rodzaju messerschmitta 109, lecz o jeszcze wyższym pułapie, jeszcze większej szybkości i uzbrojeniu tak potężnym, że niszcząc każdego wroga, sam był w zasadzie niezniszczalny.

W kampanii wrześniowej mało pojawiło się tych maszyn, również niewiele w kampanii francuskiej. Więc Alianci nie mogli sobie jasno zdać sprawy, co to zacz, wiedzieli tylko, że ów messerschmitt 110 – jak się nazywała niebezpieczna bestia — był maszyną dwusilnikową o dużym uzbrojeniu i posiadał tylnego strzelca.

Dopiero w bitwie o Brytanię Luftwaffe rzuciła w powietrze większą liczbę messerschmittów 110 i odkryła swe karty. Całun tajemniczości opadł i okazało się, że diabeł nie jest tak bardzo czarny, jak go hitlerowcy malowali. Zwłaszcza po unieszkodliwieniu tylnego strzelca, co dziwnie łatwo się działo, można było diabła chwycić za rogi i cisnąć o ziemię. Lecz dopiero szczególne zdarzenie pewnego wrześniowego dnia całkiem rozwiąło wybujałą aureolę i sława mitu prysła jak mydlana bańka.

Owego dnia Dywizjon 303 napotkał nad wschodnią częścią Sussexu zgrupowanie 30 nieprzyjacielskich bombowców, heinkli 111, sunących w kierunku stolicy pod silną osłoną messerschmittów 109. Pierwsze polskie klucze doszły do ataku na bombowce, lecz nadlatujące z góry messerschmitty, których było około 70, dały się Polakom dotkliwie we znaki. Wynikła zażarta walka. Na szczęście przybyły inne brytyjskie dywizjony i wspólny ich wysiłek powstrzymał nieprzyjaciela.

Urbanowicz, tego dnia dowodzący ostatnim kluczem dywizjonu, zaatakowany przez kilka messerschmittów na raz, wyrwał się z opalów zawadiackimi wywrotami i gdy potem maszynę wyprostował, znalazł się sam z daleka od wrzawy. Z jednej strony widział wyprawę niemiecką, od której się szczęśliwie odczepił, z drugiej natomiast strony, jakies 2000 metrów od siebie w kierunku zachodnim, spostrzegł zdumiewające zjawisko: długi, nieskończenie długi tasiemiec samolotów lecących jeden za drugim, gęsiego, z południa w stronę Londynu.

Była to jakaś nowa wyprawa nieprzyjacielska, idąca równolegle do pierwszej. Składała się z samych maszyn dwusilnikowych, z daleka przypominających Urbanowiczowi sylwetki bombowców nurkujących. Lecz zbliżywszy się myśliwiec stwierdził, że to same messerschmitty 110. Było ich przeszło 40 i najwidoczniej miały na celu ściągnięcie na siebie uwagi brytyjskich myśliwców, by wyprawie heinkli ułatwić w tym czasie przedarcie się do Londynu.

Gdy w pobliżu Urbanowicza znalazło się kilku brytyjskich myśliwców, wszyscy kupą przypuścili atak na czoło nieprzyjaciela. Żywy łańcuch messerschmittów 110, nie wdając się w walkę, natychmiast skręcił w lewo i zwinął się w zamknięte koło. Nastawił jeża. Messerschmitty szły w tym kole wszystkie na jednym poziomie, tworząc olbrzymią redutę powietrzną, władającą silnym ogniem na wszystkie strony. Nie sposób było się zbliżyć.

Urbanowicz i brytyjscy myśliwcy krążyli nad przeciwnikiem, bezradnie wypatrując

szczeliny w „latającej fortecy”. Kilku z nich dopadało koła to tu, to tam, polując krótkimi seriami pocisków, i odskakiwało. Z małym pożytkiem. Dwie własne maszyny, hurricany, zaczęły dymić i poszły ku ziemi. Koło tymczasem toczyło się nadal nienaruszone, spokojne, wyzywające.

Pyszałkowaty w swej pewności siebie obraz hitlerowskiej buty, jakiś bezczelny wieniec urągający niebu Anglii.

Urbanowicz wnet zrozumiał, że chaotyczne szarpanie wroga niczego nie zdziała. Tymczasem nadleciało więcej brytyjskich myśliwców; było ich już prawie dwudziestu. Urbanowicz przymknął gaz swej maszyny i pokiwał skrzydłami. Pięciu myśliwców zareagowało i przyłączyło się do niego. Z góry, od strony słońca, zwalili się społem na najbliższy odcinek koła z tak dobrym skutkiem, że trzy messerschmitty wypadły z obwodu. Natychmiast dostały się w obroty innych hurricanów. Dwa z nich od razu na miejscu zestrzelono, trzeci uciekał z dwoma spitfirami na ogonie.

Szóstka atakujących hurricanów rozpadła się. Urbanowicz wzleciał znów ponad nieprzyjacielskie koło i chciał po raz drugi zorganizować atak, lecz już nie zdążył. Z góry uderzyły na niego dwa messerschmitty 109, przybyłe właśnie z odsieczą.

Myśliwiec ujrzał nagle godzące w niego żółte pyski i zły rój niebieskawych smug — i gwałtownym wywrotem uchylił się od pocisków. Tak gwałtownym, że zapadł w półmrok i podczas gdy drążyła go świadomość niebezpieczeństwa, świadomość wciąż w nim żywa — oczy jego były nieżywe, nic nie widziały, a głowa bezwładnie opadała do tyłu. Straszliwe uczucie bezsilności w tej najważniejszej chwili życia i walki było koszmarem, który na zawsze pozostał w nerwach myśliwca.

W chwilę później Urbanowicz odzyskał wzrok i widział pod sobą, około 600 metrów dalej, messerschmitta, lecz tylko jednego. Drugi gdzieś się zawieruszył. Przeciwnik wyszedł z nurkowania i wzbijał się. Najdogodniejsza to dla Urbanowicza sposobność: gaz, doskok, czerwone światło celownika, nacisk kciuka, skręt wroga, znów kciuk, znów skręt: korkociąg tamtego. Stało się. Kilkanaście sekund temu wróg był człowiekiem żywym, zdrowym i pewnym zwycięstwa. A oto rozbity o ziemię, ie żył. Nawet już zupełnie nie istniał; w niezliczone strzępy ozpadło się jego ciało. W swych nieobliczalnych przeskokach, najbujniejszej formy życia do nicości, przeżywali lotnicy jakąś emoniczną wielkość, jakąś przerażającą wzniosłość.

Urbanowicz wspiął się znów w górę i wrócił do koła messerschmittów. W czasie jego nieobecności zaszły zmiany. W kole, które wciąż się kręciło na tym samym miejscu, dymiło już kilka maszyn, a ponieważ pozostawały nadal w kręgu — lecąc wolniej niż inne maszyny, tworzyły przed sobą luki. Źle wróżyło to nieprzyjacielowi. Już koło jego nie było gładkie, pękała jego spoistość. Już zuchwałej dogryzały hurricany. Czasem zbyt zuchwale: oto Urbanowicz widział właśnie brytyjskiego myśliwca, który za blisko się zaawanturował; zestrzelony, ratował” się spadochronem. Lecz nie wpłynęło to na przebieg dramatu. Hurricanów przybywało coraz więcej. Obręcz dokoła messerschmittów 110 była coraz silniejsza. Każda nowa minuta ciężko przechylała wagę.

Jeden z messerschmittów nie wytrzymał nerwowo, mimo że był jeszcze nie tknięty: nagłym skretem wyrwał się z koła. Uciekał. Uciekał w stronę Francji, akurat w ramiona Urbanowicza. Dwa hurricany pogoniły za nim. Urbanowicz, będąc bliżej, rzucił się między uciekającego a hurricany, że nie mogły strzelać i sam zaatakował. Raz z tyłu z góry, po czym po wyjściu z nurkowania i wzbiciu się, drugi raz z tyłu z góry. Wciąż przy tym pilnie bacząc, by hurricanom przecinać drogę do przeciwnika: to był jego wróg!

Naraz messerschmitt skreślił do walki. Urbanowicz, wyprysnąwszy w górę, przerzucił samolot przez plecy i w trzecim ataku zasypał celnymi pociskami lewy silnik i kabinę

przeciwnika. Messerschmitt jak zmyty znurkował do lotu koszącego. Czwarty atak Urbanowicza rozbił go nareszcie o ziemię, na oczach dwóch upartych hurricanów, nieustępliwie czyhających na swój uśmiech losu. Nie było uśmiechu; nie odbili łupu; Polak sam załatwił się z przeciwnikiem.

Gdy w trójkę wrócili do koła, zastali w powietrzu już tylko połowę messerschmittów, około dwudziestu, w tym kilka kopcących. I wciąż kręciły się jak w oblędzie. Reszta, wykruszona z obiegu, zestrzelona, leżała szczątkami w dole, na ziemi. Messerschmitty 110 nie tylko nie spełniły swego zadania odwrócenia uwagi od wyprawy bombowej (którą tymczasem rozbito), lecz same wpadły w potrzask na własną zgubę.

Nie pomogły podwójne silniki ani tylni strzelcy. Gdzie wprzód była pycha, nastąpiła nędza i klęska. W pewnym momencie jak zmurszały pień zapadło się całe koło, zmienne koło fortuny. Resztki messerschmittów wylapywano skrętnie i łatwo jak króliki. Zrobiła się ucieszna gonitwa, nastąpił siarczasty pogrom i w tym ochoczym tally-ho rozplynął się smętnie i bez glorii mit messerschmitta 110.

W środku Europy wyrosła jak niszczący wulkan złowieszcza góra drapieżnej stali i potężnych mitów. Zadaniem ostatniej wojny było rozwalić tę górę, zdławić jej drapieżność, skruszyć jej stal i rozbroić jej mity. Rozwiać mity. Historia mierzyć będzie postęp tej wojny okresami, w których padały wszelkiego rodzaju mity. Jednym z pierwszych był mit messerschmitta 110.

PODSTĘPY

Groteskowość ostatniego kataklizmu tkwiła zapewne w tym, że najbrutalniejszy instynkt barbarzyństwa podporządkował sobie najwspanialsze wyniki wiedzy i technicznego postępu. Messerschmitt 109 był to rzeczywiście wykwit techniki i cacko ludzkiej wynalazczości, ale zaraz obok niego rodził się w powietrzu jakiś nieprawdopodobny zgrzyt i ponury symbol: bo gdy owo cudo techniki zawodziło i zwykła śmierć zagrażała, pilot na messerschmitcie jakby nagle cofał się do jaskiniowego prymitywu, wpadał w mroki puszczy i sięgał do wypróbowanego arsenału irokeskich wojowników: naiwna przebiegłość Indianina miała w tych tarapatkach zastąpić wszelkie wyrafinowane zdobycze zbrojnej techniki.

Messerschmitt 109 chciał zaatakować z tyłu z góry dowódcę polskiego klucza, porucznika Henneberga, ale zaniechał zamiaru widząc, że podporucznik Jan Zumbach przylatywał Hennebergowi z pomocą. Więc przeciwnik tylko przesunął się ponad Polakami i następnie przed ich nosem zatoczył szeroki skręt, jakby przyglądając im się z bezczelną zuchwałością. Dufny w swą przewagę wysokości, licząc na bliskość innych messerschmittów, był zbyt pewny siebie i nie doceniał karabinów przeciwnika.

Zumbach podciągnął trochę maszynę i z odległości 250 metrów puścił z wielką poprawką serię pocisków przed messerschmitta. Dobrze wymierzył. Nieprzyjaciel przeleciał przez pole śmierci. Zadymił i natychmiast, jak zlotkowana kuropatwa, wpadł w korkociąg. Leciał beznadziejnie ku ziemi, ofiara swej lekkomyślności.

Good luck! — pomyślał z humorem zwycięzca i notował sobie w duchu piątego nieprzyjaciela, zestrzelonego w ciągu ostatniego tygodnia.

Myśliwiec dołączył już do dowódcy klucza, gdy rzucił jeszcze jedno przypadkowe spojrzenie w stronę spadającego wroga i zdębiał. Zumbach to as myśliwców, ale przy tym gorąca, wybuchowa natura: zaklął szpetnie. Tysiąc metrów poniżej przeciwnik, rzekomo strącony, wyprowadził maszynę z korkociągu i leciał dalej normalnie, po prostej linii, co sił uciekając w stronę Francji. Nawet nie dymił. — Filutek.

W głosie myśliwca była złowróżbna czułość. Nurkując myśliwiec rozpędził się zajadle i szybko dogonił uciekającego. Gdy przeciwnik zauważył pościg, wpadł znowu w korkociąg. Jakiś niepoprawny lubownik korkociągów!

Lecz teraz Zumbacha nie wykpił. Myśliwiec uczeplił się twardo toru messerschmitta i szedł razem z nim na dół, co chwila prażąc ogniem. Zumbach nie widział żadnych skutków swych pocisków — trafić w samolot w korkociągu to właściwie przypadek! — i strzelał z coraz większą furją. Zeszli tak z wysokości 6000 metrów na 3000.

Naraz myśliwiec się ocknął i oprzytomniał: toż to głupstwo! Postępując tak dalej mógł wystrzelać wszystkie naboje i nie trafić w ogóle, a przeciwnie, wtedy łatwo stać się samemu łupem nieprzyjaciela. Naiwny pozornie podstęp wroga był wciąganiem myśliwca w zdradliwą zasadzkę.

Więc Zumbach przestał strzelać. Szedł za messerschmittem, nieustępliwy i niemy jak cień, i pilnował. Był teraz bardzo spokojny. Wiedział, że dla tamtego nie ma ucieczki, bo musi albo wyjść z korkociągu, albo rozbić się o ziemię. A skoro wyjdzie z korkociągu...

Dzień był zasadniczo słoneczny, lecz tu i tam, na różnych wysokościach, płynęły kłęby

chmur jak białe wyspy. Małe obłoczki unosiły się również kilkaset metrów nad ziemią i gdy Zumbach i jego przeciwnik spadali w ich pobliżu, messerschmitt wykonał nagle ostry zwrot i wyrwał się z korkociągu. Czy chciał chwycić się chmur jak ostatniej deski ratunku? Nie ma na to odpowiedzi i nikt nigdy już nie odpowie.

Gdy messerschmitt wyprostował swój lot, odezwały się natychmiast karabiny Zumbacha. Nato przeciwnik wykrecił niespodziewanie beczkę — zdumiewający, bezcelowy manewr, często stosowany przez pilotów Luftwaffe w chwili niebezpieczeństwa — aż myśliwiec musiał poderwać maszynę, by się nie zderzyć. Wykonał ostry wywrót przez plecy i zleciał z boku znów na ogon przeciwnika. Czarny krzyż tym razem nie wykazywał już dowcipu ani ochoty do walki. Zumbach posłał w niego jeszcze kilka serii i dobił go sumiennie, po prostu, jak dobija się wściekłego psa.

Cały w płomieniach, messerschmitt poszedł w dół już naprawdę, już bez udawania i bez podstępu.

Był to mały fragment gigantycznej wojny, drobny epizod, jakich legion. Przebiegłość messerschmitta nie pomogła. Jego podstęp zawiódł.

Gdy przyjdzie płacić za potworne zbrodnie barbarzyństwa i okrucieństwa, dokonywane podczas tej wojny na bliźnim człowieku, czy zbrodniarze — zastanawiał się nieraz niejeden myśliwiec Dywizjonu 303 — czy zbrodniarze nie będą usiłowali się wymigać od odpowiedzialności nową przebiegłością? Czy stać będzie przenikliwych i roztropnych oczu, by dostrzec ich podstęp?

Byli to chłopacy cudowni, ci z Kościuszkowskiego Dywizjonu 303, Dywizjonu Warszawskiego, zdrowi, jędrni, krzepcy, przystojni. Nie dziw, że leciały na nich dziewczyny. Bo już się rozniosło: to nie tylko zwycięscy myśliwcy, nie tylko egzotyczni obrońcy angielskiego home'u, lecz i jakieś nieprawdopodobne zuchy, okrutnie cięte na krasę niewieścią. Wiedziały o tym oczarowane dziewczyny z northolckiego „Orchardu”, wiedziały i wykwinne panie londyńskiego „Berkeley” czy „Dorchesteru”.

Bogata lady Smith-Bingham, matka-opiekunka polskiego dywizjonu, urządziła dla myśliwców cocktail-party w „Dorchesterze”. Sprosiła co najpiękniejsze panie z londyńskiego towarzystwa. Przyszły jak jasne, szlachetne kwiaty, by poznać sławnych lotników. One i oni tańczyli, uśmiechali się, pili, byli weseli, byli szczęśliwi, zakochiwali się. Nie tym kochaniem, które jest brzemienne jak los, lecz tym, które jest jak barwny motyl.

— Ależ to niezrównani tancerze! Teraz rozumiem ich powodzenie u kobiet! — stwierdzał ze sportowym uznaniem zażywny markiz Donegall i choć mówił, że rozumie, po prawdzie nie rozumiał sedna rzeczy.

Jedna z powabnych ladies, młoda wdówka, po kilku cocktailach straciła angielską powściągliwość i uwzięła się na Jana Zumbacha. Prawiła mu słodkie; dobre słowa, oceniała dodatnio szerokość jego polskich barków i mówiła mu wesoło:

— I like you, Jan! ... — Lubię ciebie Janie!

A Zumbachowi zaświeciły się oczy wilkiem, bo to zbereźnik z nich największy. Wyszeptał:

— I love you, too! ... — Ja ciebie także kocham!

Lecz potem nagle coś zepsuło angielską sielankę. Z winy samego Zumbacha. Ni stąd, ni zowąd ostygł. Widocznie wypił za wieje: coś mu się przywidziało. Jakaś zjawia przez mgłę, jakieś dalekie wspomnienie. Ujrzał inne oczy: chabrowe. Ujrzał inne usta: wiśniowe. I był to ktoś inny niż lady: Zosia. A może Jadzia albo Marysia, chociaż z pewnością była to Zosia. I słyszał, najwyraźniej usłyszał jej daleki głos, pełen pieszczoty i tęsknoty:

— Czy pamiętasz mnie, Jasiu?

Gdy myśliwiec ją tak usłyszał i ujrzał nagle oczami duszy, ostygł i już za nic w świecie nie mógłby pięknej lady powiedzieć zuchwale: I love you.

Bo serce, polskie serce to dziwna rzecz: może włóczyć się po całym świecie, może upadać na rozdrożach, uzbrajać się w pancierz zapomnienia, może upajać się blaskiem obcego nieba — aż oto zniecka i chytrze zgotuje sobie samemu podstęp i wpadnie we własną sieć. I ujrzy uśmiechniętą z daleka Zosię albo przytulną strzechę, albo samotną mazowiecką sosnę. Inny to będzie podstęp niż podstęp wroga w messerschmitcie i niż podstęp ludzi nikczemnych, wzajemnie się zwalczających: będzie to uczciwy, rzewny, dobroczynny podstęp ludzkiego serca.

Owa cocktail-party odbywała się już dawno, podczas pamiętnych dni Battle of Britain, kiedy to Dywizjon 303 z lotniska w Northolt bronił skrzydłami swymi Londynu. Od tego czasu wiele się zmieniło w składzie dywizjonu, większość tych wspaniałych lotników poległa. Lecz Zumbach żył. Brał udział we wszystkich ofensywach frontu zachodniego i w żadnej nie odniósł kontuzji. Tylko czasem miał osobliwe przywidzenia: gdy na swej maszynie wzbijał się w powietrze, w duszy widział na chwilę oczy jakiejś dziewczyny. Nie wiedział jakiej. Zosi, może Wandzi, może Staś i.

Można było kpić sobie z niewinnych zabobonów i wiary w talizmany, ale w tych upartych a dobrych oczach polskiej dziewczyny coś jednak musiało być: coś, co dziwnie, niemal cudem, Jana Zumbacha chroniło, iż nie imaly się go ani pociski wroga, ani inne złe przypadłości wojny.

LOSY SIĘ WAŻĄ

Angielski wrzesień 1940 roku był wciąż dziwnie pogodny i gorący. Niebo pełne lazuruwej szczodroblowości. Dnie wschodziły jakby uśmiechnięte i taki był dzień owej decydującej niedzieli, 15 września: gdy świt rozwiął nocne mgły, pojawiły się na niebie lekkie, niskie chmurki, płynące przez cały dzień jak białe łabędzie, i od ich blasku słońce świeciło na Anglię jeszcze jaśniej niż w inne dni. Jakiś dzień łaskawy i rozmarzony, aż trudno było uwierzyć, że na tak bukolicznym tle rozegrał się najbardziej porywczy dramat ludzkości, że w tych pastelowych ramach zawisł groźny obraz najzawziętszych zmaganiań i najgwałtowniejszych rozstrzygnięć.

Tego dnia sztab hitlerowski postanowił rozstrzygnąć wojnę na zachodzie.

Sześć tygodni już trwał powietrzny atak na Anglię. Siedemdziesiąt dziennych walnych wypraw bombowych bilo bez ustanku w jej ośrodki oporu. Luftwaffe poniosła co prawda w tych uderzeniach ogromne straty, bo około 1650 maszyn, lecz była pewna, że znacznie poważniejsze straty zadała przeciwnikowi. Nie miała żadnych wątpliwości, że RAF walczy resztkami sił i że zrozpaczona ludność Anglii gotuje rewolucję. Było to jednym z fatalnych obliczeń hitlerowców w tej wojnie. Ponośli ich pobożne życzenia i ślepa pycha.

Lecz jakkolwiek mylnie oceniali sytuację przeciwnika, swą własną potęgę znali doskonale: 200 pełnych dywizji, zwycięskich, neodparty, kruszących dotychczas każdego wroga, każdą przeszkodę, czekało niecierpliwie na znak inwazji; stłoczone nad brzegiem Kanaru Angielskiego, pały żądzą nowego podboju. Oddziały uderzeniowe, załadowane już na barki, patrzyły chciwie na białe skały Kentu, owej niedzieli wypatrując tylko pierwszej wyrwy, jakiej miało dokonać lotnictwo niemieckie. Wszystko, losy tego dnia i losy wojny, zależało od tej wyrwy i od powodzenia lotników z czarnymi krzyżami.

Nie sposób dokładnie ustalić, ile maszyn Luftwaffe puściła w tym dniu na Anglię. Niektórzy podawali ich liczbę na przeszło tysiąc, lecz to chyba przesada. Prawdopodobnie było ich około 650 do 700. Przychodziły w kilku falach, z których dwie były najsilniejsze: pierwsza w południe, druga w trzy godziny później.

Pierwsze klucze messerschmittów zarysowały się na niebie krótko po godzinie 9 przed południem w wielkim wachlarzu od północnych brzegów ujścia Tamizy aż do Dungeness na południu Kentu. Były to patrole niezbyt silne i miały zapewne na celu wymacanie przeciwnika, zwabienie go w powietrze i zdeorientowanie. Lecz dowództwo brytyjskiego myślistwa, przejrzawszy rychło zamysły nieprzyjaciela, nie dało wywieść się — w powietrze.

Nagle, około jedenastej przed południem pojawiło się więcej messerschmittów jedno — i dwusilnikowych. Szły bardzo wysoko i na pełnym gazie, pozostawiając za sobą białe smugi powietrzne. Owe białe pasma — widok spowszedniały nad dolinami Kentu — dziś nie tały swej brutalnej groźby: przecinały niebo jak wrogie strzały skierowane wszystkie w jedno serce, Londyn.

Mimo że był to już poważny nalot kilku dywizjonów, brytyjskie dowództwo nie przywiązało doń zbytnej wagi i stawiając tylko słaby opór, pozwoliło im zapędzić się w głąb Anglii. Po prostu przepuściło je: decyzja najtrafniejsza i jakby już z góry narzucająca wypadkom dalszy ich, korzystny bieg.

Bitwa, która rozgorzała kilka minut później, dała nowy dowód wysokich przymiotów, jakie posiadali brytyjscy i sprzymierzeni myśliwcy, i równocześnie uwypukliła zdolność brytyjskiego dowództwa. Było ono jakby nieobecne tydzień temu, gdy w dniu 7 września dopuściło wroga za dnia do doków londyńskich. Dziś natomiast nad całą akcją panował wyraźny mózg sztabu, czujny, zdecydowany. Ani na chwilę nie utracił inicjatywy. Świetnie rozbudowana sieć podłuchu i radiolokacji dostarczała mu dokładnych wiadomości o wrogu. Bez przerwy trzymał w swym ręku, na swym stole operacyjnym, wszystkie nieprzyjacielskie formacje. Rzucił na nie kolejno swe myśliwskie dywizjony, mądrze, przemyślnie, precyzyjnie. Miał jasny plan obrony i każda nowa sytuacja bitwy spotykała się z natychmiastową odprawą. Gdzieś w Anglii, w podziemiach centrali operacyjnej, koncentrował się w ciągu pół godziny jak gdyby cały geniusz sztabu brytyjskiego i swą wolę zwycięstwa przelewał skrzydła myśliwskich samolotów.

W kilka minut po wsiąknięciu w głąb Anglii przedniej straży nieprzyjacielskich myśliwców, w okolicach Dovru rozległ się dźwięk nowego szumu silników, tym razem głębszy i przenikliwszy. Iebawem od wschodu pokryła niebo silna wyprawa bombowa: blisko 40 bombowców, przeważnie heinkli, eskortowanych przez podwójną liczbę mессerschmittów. Zaraz po przebyciu przez wyprawę pasa wybrzeża rzuciło się na nią kilka nielicznych, dwa do trzech dywizjonów spitfirów. Rzekłbyś: zjadliwe pieski. Atak ich był tak ostry, że w zupełności odniósł skutek pożądaný przez brytyjskie dowództwo: spitfiry wciągnęły do walki większą liczbę mессerschmittów i bombowce leciały dalej pod osłabioną już osłoną.

Jakieś 40 kilometrów głębiej, w połowie drogi między wybrzeżem a Londynem, bombowce natrafiły na nową, silniejszą zaporę hurricanów tworzących jak gdyby drugą, główną linię oporu. Tu impet Luftwaffe się załamał. Wyprawa, zmuszona do przyjęcia walki, rozbiła się na wiele części. Tym samym przestała istnieć jako czynna jednostka uderzeniowa. Po prostu rozpadła się w kilkudziesięciu pojedynkach i poniosła klęskę.

Lecz okazało się, że i heinkle były tylko wstępem do dalszej akcji, gdyż w niespełna pięć minut później nadleciało nowe, znacznie liczniejsze zgrupowanie. Było w nim przeszło 150 niemieckich maszyn, w tym więcej niż jedna trzecia bombowców. Spadły na Anglię jak potężny młot. Teraz dopiero nadeszła rozstrzygająca chwila. Bezpośrednie, najistotniejsze niebezpieczeństwo zawisło nad krajem: podczas gdy zadaniem dotychczasowych fal było tylko walczyć, wiązać i wyczerpywać brytyjskie lotnictwo (w mniemaniu sztabu hitlerowskiego osłabione do ostatnich granic 6-tygodniową bitwą), nowy nalot miał dokonać ostatecznego opanowania powietrza nad Anglią. Chociażby na krótko, na kilka kwadransów. Chociażby tyle, by stworzyć klin dla następnych inwazyjnych formacji.

Olbrzymia wyprawa przeszła przez wybrzeże jak huragan. Nikt jej nie zaczepiał. Były w powietrzu spitfiry, lecz wciąż tłukły się z mессerschmittami. Huragan zmierzał prosto na Londyn. Na wysokości miasteczka Maistone wpadł w rejon, w którym toczyła się wielomilowa bitwa poprzedniego nalotu z hurricanami. Nie mieszał się do niej, dążył dalej. Już mijał walczących, gdy nagle ku zdumieniu najeźdźców pojawiły się przed nimi świeże dywizjony brytyjskich myśliwców. Zaskoczenie było przykre. Lecz wyprawa miała rozpęd tak nieprzeparty, że jakkolwiek Brytyjczycy przeszywali jej szyki niby zabójczymi sztyletami, zdołali powstrzymać i związać tylko część napastników; reszta, blisko 150 maszyn, parła dalej.

Dosięła Londynu. Maszyny Luftwaffe zawarczały nad miastem, gdy Big Ben uroczyście wybijał południe. Było wśród nich wiele bombowców, lecz szkód wielkich nie wyrządziły. Nie zdążyły. Właśnie w sam czas napłynęło kilka nowych myśliwskich dywizjonów, ściągniętych z dalszych okolic Anglii. Wśród nich znajdował się polski Dywizjon 303. Stanowiły jakby trzecią, ostatnią linię obronną, i pod naporem jej rozpaczliwych ciosów wróg

się rozleciał. Rozbity na szereg pojedynczych walk, ratował się ucieczką. Wracał rozbity.

Nawała szczyła. Zwyciężyło alianckie myślistwo. Rozłupało formację wroga. Na rozległym niebie od Londynu aż do brzegów Kanaru toczyła się najdziwniejsza w dziejach ludzkich bitwa, srożyło się dwieście zawziętych pojedynków: widok nieopisanego piękna i odmętu grozy. Brytyjscy i alianccy myśliwcy wiedzieli, o co walczyli: walczyli jak lwy.

Nie wiadomo, jakie skutki — zapewne fatalne — miałyby pojawienie się w tych kilkunastu minutach nowej, świeżej wyprawy nieprzyjacielskiej. Dwadzieścia jeden brytyjskich dywizjonów już walczyło. Wielu rezerw widocznie w pobliżu nie było, skoro trzeba było sięgać po pomoc z dalszych stron. Lecz dowództwo hitlerowskie nie zdobyło się na nowy atak. Skuliło się, zaniemogło, osłupiało zapewne niespodziewanie twardą odprawą, paraliżującą wszystkie jego kalkulacje.

Więc olbrzymi płomień nad Anglią, nie podsycany świeżym wkładem, wypalał się sam w sobie.

Dywizjon 303 w tej ważnej bitwie wspaniale walczył. Nową okrył się chwałą, chociaż z początku zanosilo się niepomyślnie.

Tego dnia prowadził go kanadyjski kapitan Kent, myśliwiec odważny, lecz młody i niezbyt doświadczony. Gdy Kent, lecąc w dwanaście maszyn, ujrzał nad Tonbridge zgrupowanie około 20 messerschmittów idących w stronę Londynu, dał się skusić ich ponętym widokiem i puścił się wraz z dywizjonem w pogoń. Niestety, messerschmitty pędziły szybko i trudno było je doścignąć. Lecz Kent wziął się i ścigał. Messerschmitty skręciły nieznacznie ku północy, wywabily dywizjon nad ujście Tamizy i potem zakręcając olbrzymie koło, wróciły znów w okolice Tonbridge.

Tak wiedziony za nos dywizjon nie tylko strwonił kilkanaście cennych minut, lecz co gorsza, goniąc rozciągnął się na długiej przestrzeni i stracił łączność zarówno z wrogiem, jak i między własnymi kluczami. Gdy wszedł ponownie w rejon walk, był rozbity na cztery oddzielne trójki. Okoliczność fatalna, a przecież właśnie w tych trudnych warunkach uwydatniła się jeszcze raz niezwykła, indywidualna sprawność polskich myśliwców.

Tak więc pierwszy klucz, kapitana Kenta, zabrnawszy aż po Dungeness nad Kanał, zuchwale zaatakował kilkanaście messerschmittów. Dwaj boczni kapitana, porucznik Ferić i sierżant Andruszkow, zestrzelili dwie maszyny z ich środka, po czym ratując się desperacko od grożącej zagłady, dali zbawczego nura w pobliskie chmury. Nic im się nie stało.

Drugi klucz, porucznika Henneberga, prac w stronę spostrzeżonej wyprawy dornierów, zaatakowany przez messerschmitty, wywrotami rozleciał się na wszystkie strony. Przy tej okazji Jan Zumbach zniszczył „podstępny” messerschmitta, który chciał się wycygnąć korkociągiem. Tymczasem Henneberg rzucił się sam jeden na bombowce, lecące na domiar złego pod silną osłoną, i jedną długą serią pocisków zapalił pierwszego z boku dorniera. Od nadlatujących messerschmittów oderwał się rezolutnym nurkiem pod bombowce, po czym wkrótce napadł na cztery nowe messerschmitty i jednego z nich strącił. Sam uszedł cało.

Trzeci klucz, porucznika Paszkiewicza, podobnie zaskoczony przez kilka messerschmittów, rozpadł się, przy czym wszakże Paszkiewicz zmusił jednego z napastników do walki kołowej i wnet go zgładził. Tymczasem podporucznik Łokuciewski, wywinawszy się od pościgu, ujrzał z boku samotnego messerschmitta lecącego powoli, jak się okazało, na przynętę. W chwili zbliżenia się do niego i oddania strzałów napadło na myśliwca kilka messerschmittów z góry. Jeden z ich pocisków działkowych rozbił bok kabiny i poranił srodze Łokuciewskiego. Błyskawiczna ucieczka w chmury uratowała go, przedtem jednak myśliwiec przeżył wielką satysfakcję: widział, jak samotny messerschmitt, który poprzednio leciał na wabia, trafiony pomimo bardzo krótkiej serii, z wielkim płomieniem walił w dół. Chociaż hurricane był szpetnie pogruchotany i chociaż w udzie Łokuciewskiego tkwiła masa

odłamków pocisku, nieugięty myśliwiec gładko doprowadził samolot do swej bazy, by maszynę oddać do fabryki, a siebie do szpitala.

Dowódca czwartego klucza, porucznik Marian Pisarek, miał obok siebie sierżanta Frantiszka, w pewnym momencie ułatwiającego się starym zwyczajem, by gdzieś nad Kanałem zestrzelić messerschmitta 110. Pisarek natomiast zaczął ścigać messerschmitta 109, który uciekając wykonywał cudaczne wykrętasy i zrećnie unikał pocisków. „Adolfek” wysliznął się tak przebiegle, że w końcu zdołał czmychnąć do niewielkiej chmury. Pisarek wpadł za nim i oczywiście natychmiast zgubił przeciwnika z oczu. W ukryciu wróg jakby stracił dowcip i pewnie już sądził, że jest uratowany: będąc jeszcze w chmurze, skrzył ku Francji. Pisarek, wczuwając się instynktownie w jego odruchy myślowe, kombinował tak samo i tak samo skrzył. Po wyskoczeniu z obłoku miał messerschmitta tuż przed sobą i łatwo pierwszą serią zwałił go do ziemi. W tej osobliwej walce dwóch przeciwników powzięło tę samą myśl i dlatego wróg przyplącił to życiem.

Więc Dywizjon 303, jakkolwiek rozproszony, spisał się znakomicie. Swą zuchwałą waleczność — a zuchwałość i waleczność były w tym dniu cnotami najpotrzebniejszymi! — wiązał wielką liczbę messerschmittów ułatwiając innym dywizjonom zwalczanie bombowców. I, last not least, osiągnął znów rekordową liczbę zwycięstw: bo będąc tylko jednym z dwudziestu brytyjskich dywizjonów, walczących przecież z przykładną odwagą, sam „303” zniszczył blisko jedną szóstą część samolotów nieprzyjacielskich, zestrzelonych przez innych myśliwców: 9 i pół (pół, bo jednego messerschmitta z innym dywizjonem) na 60 i pół maszyn strąconych przez resztę RAF-u. Rezultat zaszczytny.

Straty brytyjskie były nieznaczne: kilkanaście maszyn i kilku tylko zabitych. Straty Polaków: jeden ranny.

Winston Churchill w towarzystwie swej żony śledził przebieg bitwy w centrali operacyjnej brytyjskiego dowództwa 11 Grupy Myśliwskiej w Uxbridge. Utartym zwyczajem chciał zapalić swe legendarne cygaro, ale taktownie go poproszono, by nie palił w centrali operacyjnej. Więc tylko trzymał w ustach swe nie zapalone cygaro, gdy wkrótce napięcie walki doszło do szczytu. Premier opuścił Uxbridge dopiero około czwartej po południu, gdy obrona tego dnia, najważniejszego dnia „Bitwy o Brytanię”, zadała wyraźną, druzgocącą klęskę niemieckiej Luftwaffe.

Churchill był zadowolony i uśmiechnięty i dziękował lotnikom: brytyjscy myśliwcy oraz ich alianccy towarzysze spełnili swe zadanie.

Wielka stronica dziejów obróciła się na korzyść Brytyjczyków i na korzyść całej ludzkości.

Że na tej stronicy są wypisane rzetelnie polskie litery, i to bynajmniej nie na poślednim miejscu, będzie dla Polaków po wsze czasy źródłem zdrowej dumy.

W tym dniu — wypada to podkreślić — obok Dywizjonu 303 brał udział w walce drugi polski dywizjon, 302, Dywizjon Poznański, i zestrzelił również sporo: 8 przeciwników.

Lecz dzień 15 września jeszcze się nie skończył...

LOSY SIĘ ROZSTRZYGNĘŁY

Nie skończył się jeszcze dzień 15 września. Barki z niemieckimi dywizjonami wciąż czekały na sygnał do inwazji. Należało utorować im drogę za wszelką cenę. Obojętnie jakim kosztem, należało złamać opór Anglii i opanować jej powietrze. „Ostatni samolot zwycięży!” — pieniał się Goering.

W dwie godziny po południowej klęsce Luftwaffe rozległ się od nowa nad brzegami Kanału warkot nieprzyjacielskich maszyn. Drugi tej niedzieli atak był równie potężny jak pierwszy. Znowu przychodził w dwóch falach, jednej po drugiej. Pierwsza była znacznie silniejsza. Była miazdząca. Pisała na niebie najzłowróźbniejsze znaki. Skupiała wszystkie żądze krzyżackie, niosła najdrapieżniejsze nadzieje hitlerowców. Była jak grom.

O godzinie drugiej minut pięćdziesiąt poderwano Dywizjon 303. Startowało już tylko dziewięć maszyn. Pierwszą eskadrę, 4 maszyny, prowadził angielski kapitan Kellet; drugą, 5 maszyn, kapitan Urbanowicz. Po starcie nadszedł rozkaz radiowy z dołu, by kursem południowo-wschodnim wzbić się na 20 000 stóp.

Na wysokości 8000 stóp dywizjon wszedł w gęstą warstwę chmur. Korzystną może dla osłony Anglii, lecz dla myśliwców niepożądaną. Trudno było utrzymać łączność między kluczami. Myśliwcy drugiej eskadry przytulili się do samolotu Urbanowicza prawdziwie jak pisklęta. Lot był przykry, grożący zderzeniem przy słabej widzialności. Na domiar złego szyby zaczęły zamarać i wnet pokryły się grubą płytą lodu. Nerwy w coraz większym napięciu, coraz łatwiej o katastrofę, aż wreszcie upragniony blask: eskadra wyskoczyła ponad chmury. Wysokość 22 000 stóp. Warstwa obłoków, głęboka na pięć blisko kilometrów, z wierzchu przedstawiała wspaniały widok jakby spiętrzonych gór.

Zupełne pustkowia. Myśliwcy rozglądali się daremnie za kolegami z pierwszej eskadry. Byli sami, tylko ich pięciu w tym nieskończonym morzu bieli i słońca. Reszta dywizjonu pogubiła się w chmurze. W ogóle nikogo nie było widać, ani śladu innych myśliwców, ani nieprzyjaciela.

Piątka, jak stado zagubionych w przestworzach ptaków, leciała dalej w wyznaczonym kierunku, nieustannie nabierając wysokości. Wciąż wyżej, wyżej. Wnet w promieniach słońca znikł lód na szybach: eskadra mogła patrzeć w przód.

Nagle ujrzała! Daleko, jakieś cztery kilometry przed nią, pękały białe bukietki. Rój pocisków artylerii przeciwlotniczej bijącej poprzez chmury. Z odległości wyglądało to jak dziecięca zabawka, lecz myśliwcy czuli, że była jakaś wzruszająca nuta w tej armatniej czupumoci grzejącej na ślepo, zapalczywie, na przekór grubej chmurze.

I jednocześnie widzieli z daleka cel pocisków, wyprawę bombową. Przeszło 60 bombowców w zwartych piątkach leciało kilkaset metrów ponad obłokami, w kierunku na Londyn. Urbanowicz ogarnął wzrokiem ich zbitą masę, domyślił się, że to dornierzy 215, i odruchowo, niespokojnie szukał po niebie nieprzyjacielskiej osłony. Gdzie osłona? Była! Wreszcie ją znalazł: nieco w tyle za bombowcami; z lewego ich boku, od strony słońca, lecz dziwnie wysoko, nieprawdopodobnie wysoko jakieś 2000 metrów powyżej dornierów — sunęło potężne zgrupowanie około stu messerschmittów. Mrowisko, aż czarno odbijało się na niebie. Lecz dlaczego leciało tak wysoko?! Doświadczony myśliwiec nie rozumiał tego;

stwierdził, że tylko luźne, nieliczne trójki messerschmittów chodziły niżej, pod tą odległą osłoną, między nią a bombowcami.

Wtem uwagę Urbanowicza ściągnęło na siebie pięć messerschmittów 110. Oddalone o niespełna 600 metrów, leciały w tym samym kierunku co polska eskadra, jeno znacznie wyżej i z boku. Ich nagła bliskość rozstrzygnęła: Urbanowicz rzucił się za nimi w pogoń. Lecz już w kilkanaście sekund później przekonał się, że to próżny trud. Jego eskadra, zmuszona wzbijać się w górę, pomimo pełnego gazu pozostawała w tyle za messerschmittami. Jak błyskawicznie Urbanowicz decyzyjnie powziął, tak też ją porzucił. Miał już inny cel: same bombowce.

Pościg za messerschmittami zaprowadził eskadrę w pobliżu zgrupowania bombowców. Polacy mieli je tuż przed sobą z lewej strony, kilkaset metrów niżej. Przy tym myśliwcy byli prawie bezpośrednio pod rojowiskiem messerschmittów i Urbanowicza, zerkającego w górę, aż zatykało z napięcia: nikt ich jeszcze nie atakował. Jakaś niebywała szansa! Messerschmitty albo ignorowały eskadrę — pięciu myśliwców to pył wobec takiej przewagi! — albo ze swej podniebnej wysokości po prostu jeszcze jej nie zauważyły. Nieprawdopodobnie szczęśliwy zbieg okoliczności rzucił oto Polaków w sam środek nieprzyjacielskiej wyprawy, nieświadomej niebezpieczeństwa.

Urbanowicz nagle skręcił w lewo. Do ataku. Koledzy zrozumieli. Skręcili tak samo, dołączyli do jego boków. Cała piątka zwaliła się w dół, w jednym szeregu, ławą. Nurkowała na pełnym gazie, rwała z zawrotną szybkością. Tak tylko orły uderzają. To szaleńczy wyścig o zdobycie sekundy: wciąż nad bombowcami krążyły niedaleko luźne trójki messerschmittów. Zaskoczyć je, ubiec je w jednym migocie! Urbanowicz przy tym widział wszystko: wiedział, że jakieś 2000 metrów przed wyprawą bombową zbliżały się już dwa dywizjony brytyjskich myśliwców. Za chwilę polska eskadra nie będzie sama. Lecz będzie pierwsza. Była pierwsza.

Atak trzy czwarte z przodu z góry. Wprost od słońca. Wprost na same bombowce. Bombowce szły stłoczone jak stado owiec. Z odległości 400 metrów padły pierwsze pociski. Celne i mądre: nie koncentrowały się w długiej serii na jednym samolocie, jak to czyniły zazwyczaj, natomiast krótkimi seriami obsypywały poszczególne bombowce. Raziły tu, rąbały tam. Cięły i przeskakiwały na następny cel. Biły naraz w kilkanaście maszyn i naraz cała lewa kolumna wyprawy była pod ich ostrzałem. Straszliwym ostrzałem. Najskuteczniejszym i najbardziej demoralizującym.

Nie wiadomo, co tak poskutkowało: czy celność pocisków powodująca wyjątkowo liczne straty w ludziach, czy też przerażenie hitlerowskich załóg, przestraszonych, iż atak nastąpił od strony słońca, skąd najmniej się spodziewały i gdzie przecież czuwać miała silna osłona messerschmittów — dość, że wróg stracił głowę. Zdruzgotało go uderzenie. Powstała ciżba, wybuchła panika. Zaraz na wstępie dwa dorniry wpadły jeden na drugiego i obydwa, splecione w koszmarną masę, stoczyły się w dół. Niektóre z nich z brzegu zgrupowania uciekały wariackimi skrętami w lewo; inne, ze środka, uciekały w dół.

W tym momencie piątka polskich myśliwców dopadła. Dwóch przeszło wyprawę z góry do dołu i z dołu do góry; trzech pozostawało stale ponad bombowcami. Zataczało esy, nurkowało, strzelało z góry, skręcało przez plecy, nurkowało, strzelało. Przerzucało się zawrotami i z góry znów strzelało, znów prażyło, znów grzmociło... I tak pięciu myśliwców, szalejących w swym żywiole, zamienionych w ziejące furie, tworzyło historię: rozbijało wielką wyprawę Luftwaffe.

Wyprawa się rozpadła. Już żadna siła nie mogła jej skleić; nikt jej nie spoi. Panika to straszna rzecz. Już nawet bombowce z prawej kolumny, najmniej dotychczas narażone, skręcały w prawo i uciekały. Uciekały. A tu już świeże dywizjony brytyjskich myśliwców

wpadały jak nowe furie i szerzyły nowe spustoszenie.

Z góry uderzyły wreszcie messerschmitty. Były za daleko, przyszły za późno. Cóż, że sierżant Brzozowski, rozsiekany na śmierć, zginął. Że sierżantowi Andruszkowowi ustrzeliły maszynę, a sierżant z niej wyskoczył. (Skacząc zaś zawisnął w powietrzu na przewodzie radiowym i tak, szkaradnie ciągnięty za głowę, poleciał kilometr za spadającym hurricanem, zanim się nie oswobodził zerwaniem kominiarki z głowy.) Cóż, że porucznika Fericia opadła chmara messerschmittów 110. W walce kołowej Feric zważył jednego z nich, potem z podziurawionym samolotem czmychnął do chmur! Zleciały się messerschmitty, zleciały się ze wszystkich stron. Lecz losu już nie odmieniły. Lecz bombowców od zagłady nie uchroniły.

Nadlatujące jednocześnie hurricany i spitfiry spełniły swój obowiązek do ostatka, do cna. A między nimi ów szczęśliwiec, który pierwszy dorwał się do wroga; Urbanowicz.

W pewnej chwili zauważył, że trzy dorniere, korzystając z zamętu, nurkowały w otwór między chmurami i starały się zejść ku ziemi, by tam widocznie rzucić bomby. Skradały się jeden za drugim. Urbanowicz doskoczył. Latał dokoła nich jak osa, wzbijał się i pikował. Przy drugim ataku środkowy bombowiec wybuchł płomieniem. Następna seria pocisków sprzątnęła przedniego dorniera. Trzeci, niestety, dał przezornie drapaką do chmur. W chwili gdy zniknął z Oczu, dwa strącone bombowce wpadały jak zestrzelone kaczki w środek ujścia Tamizy.

I znów, jak przed trzema godzinami, dwieście pojedynków przewalało się na niebie. Wrogowie ginęli. Padały ich maszyny. Luftwaffe ponosiła najsromotniejszą klęskę. 185 jej maszyn legło tego dnia, razem, w południe i po południu. Przeszło dwieście innych, potłuczonych, ledwo dowlokło się do Francji. Był to cios decydujący.

Gdy owego 15 września 1940 roku, po południu między godziną trzecią a trzecią minut trzydzieści, niedobitki rozgromionej Luftwaffe zmykały ku Francji, wielka bitwa, zwana Bitwą o Brytanię, była rozstrzygnięta. Mało Brytyjczyków, zasiadających tego popołudnia do swej codziennej herbaty, świadomych było wielkiego zwycięstwa. Jeszcze mniej sobie uświadamiało, że owa godzina była jedną z tych nielicznych, które rozstrzygały losy tej drugiej światowej, potwornej wojny.

„ZACZYNAAMY POZNAWAĆ POLAKÓW”

Druga połowa września jasno wykazała, że dzień 15 tego miesiąca był dniem kulminacyjnym Bitwy o Brytanię i załamał decydująco rozpęd Luftwaffe. Po tym dniu nie mogła już okrzepnąć. Naloty jej straciły rozmach, zwiotczały, a gdy czasem jeszcze wybuchały z ostatnią, desperacką zapalczywością, alianckie lotnictwo łatwo topiło je w krwi i rozbijało w gruzy. Tak na przykład w dniu 27 września Brytyjczycy znowu zniszczyli 116 maszyn niemieckich, Dywizjon 303 — 15. Lecz były to ostatnie porwy.

Brytania ocalała, tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak blisko była w owym miesiącu zupełnej klęski: przecież na lądzie nie miała wtedy żadnego prawie uzbrojenia.

Bitwę wygrali myśliwcy. Nie dopuścili nieprzyjacielskich hord do inwazji. W decydującym dniu, owym 15 września 1940, dwadzieścia jeden alianckich dywizjonów, czyli mniej więcej dwieście pięćdziesiąt myśliwców wzięło na siebie cały obuch hitlerowskiej furii i broniło całości frontu. Aż dziś jeszcze, po latach, samo wspomnienie dech zapiera i wydaje się to jakąś przerażającą lekkomyślnością dziejową, jakimś fantastycznym paradoksem.

Cienka była nić, która trzymała wtedy węzły Wielkiej Brytanii, lecz nie zerwała się. I co jeszcze ciekawsze, że nie zrywając się, wstrząsnęła sumieniem świata. Dopiero gdy tych niewielu spełniło nadludzki niemal wyczynem swój obowiązek, przebudziła się reszta Imperium i zrozumiała istotę wojny; przebudziły się i Stany Zjednoczone. Wtenczas wążuieńki był front broniący przez owych dwustu pięćdziesięciu, lecz jakże ważny, jak brzemienny w następstwa: utworował drogę dla właściwego frontu, stworzonego później przez cały świat. Frontu, idącego od Waszyngtonu poprzez Londyn do Moskwy, do Czungkingu. i dopiero uzbrojona sieć całego giobu zdusić miała hydrę hitlerowską. Lecz wtedy, w sierpniu i we wrześniu 1940 roku takiej sieci jeszcze nie było. Była tylko cienka, samotna nić. Było ich bardzo, bardzo niewielu,

Między nimi byli i Polacy. Wśród Polaków — Dywizjon 303. Wkład jego do Bitwy o Brytanię w jej najważniejszym okresie wrześniowym był wspaniały i zdumiewający: 303 zestrzelił trzykrotnie więcej przeciwników niż przeciętnie każdy z innych dywizjonów alianckich. A przy tym miał trzykrotnie mniej własnych strat w stosunku do strat innych dywizjonów.

W liczbach działalność wszystkich polskich myśliwców oraz RAF-u we wrześniu przedstawiała się następująco:

Dywizjon 303 — 77 zestrzeleń przez Polaków, 17 przez Czecha Frantiszka, 14 przez trzech brytyjskich członków dywizjonu. Razem we wrześniu 108 zestrzeleń, a w całej Bitwie o Brytanię 1940 roku-126.

Dywizjon 302 — 15 zestrzeleń we wrześniu, a w całej Bitwie o Brytanię — 16.

Inni polscy myśliwcy, rozproszeni po jednostkach brytyjskich 29 zestrzeleń we wrześniu, a w całej Bitwie o Brytanię — 77.

Razem Polacy we wrześniu 1940 r.: 121 zestrzeleń; reszta Królewskich Sił Lotniczych RAF miała 846, co stanowi stosunek zestrzeleń polskich do innych jak 1 do 7. Wypada nadmienić, że poza tym artyleria przeciwlotnicza strąciła 131 maszyn we wrześniu.

Jeszcze korzystniejszy dla Polaków stosunek wykazuje zestawienie zwycięstw w owym decydującym dniu 15 września, kiedy to powyższe dwa dywizjony, tj. 303 (15 zestrzeleń) i 302 (8 zestrzeleń) oraz inni Polacy w brytyjskich dywizjonach, miały razem 26 zestrzeleń polskich, podczas gdy reszta, tj. Brytyjczycy i inni alianci zestrzelili 153 przeciwników. Zatem co siódmy samolot niemiecki ginął owego rozstrzygającego dnia od polskich pocisków.

Nie dziw więc, że polscy myśliwcy byli na ustach wszystkich i w sercu każdego Brytyjczyka. Nie dziw, że do Dywizjonu 303 przyjeżdżał generał Sikorski, by ich dekorować; że przybywał również król brytyjski, by uściskać im dłonie i dziękować. Brytyjskie pióra, co uczciwsze, oddawały im wtedy, w jesieni 1940 roku, cześć w publicystyce i pisały entuzjastycznie, jak na przykład George Saunders, słynny autor popularnego dziełka pt. „The Battle of Britain”.

„...Znakomici między nimi (myśliwcami) są Polacy. Ich męstwo jest ogromne; ich sprawność graniczy z wyczynem nadludzkim. Polacy oddali wielkie usługi. Wciąż je oddają i oddawać będą, dopóki zwycięstwo, tryumfalne i zupełne, nie opromieni ich skrzydeł.

Zaczynamy poznawać Polaków.”

Więc ostatecznie jacy byli ci sławni myśliwcy z Dywizjonu 303? Czy jacyś nadludzie? Jakaś elita, wyszukana na pokaz, dla pięknego symbolu? Jakieś cudowne dzieci, jacyś wybrańcy losu? Otóż właśnie że nie! Byli to zwykli, zdrowi, prości chłopcy. Mieli ten sam temperament i te same zmysły, ten sam uśmiech i te same troski co większość innych Polaków; byli kubek w kubek podobni do tysięcy mieszkańców znad Wisły, Warty i Bugu, nie różnili się od tamtych niczym, ani cnotą szczególną, ani przywarami. Tylko gruntownie nauczyli się swego fachu w polskiej szkole i teraz sumiennie spełniali swój obowiązek i to było ich tajemnicą.

Że sprawność i rezultaty Dywizjonu 303 w roku 1940 nie były niczym wyjątkowym i osobliwym, świadczyły podobnie doskonałe wyniki innych polskich myśliwców walczących w zespołach brytyjskich, jak również świadczyła o tym działalność bratniego Dywizjonu 302. Myśliwcy z „302” zdobyli nawet pewnego dnia rekord, bo stacjonując z dala od terenów walki jednak potrafili zestrzelić 16 nieprzyjacielskich maszyn. A gdy, jak w dniu 15 września, dopuszczono ich raz uczciwie do wroga, zmiotli w jednym dniu nie mniej niż osiemnaście samolotów.

Dzieje polskich lotników w Brytanii nie były pozbawione szokujących nieporozumień, polegających na tym, że obce narody, nawet najuczciwsze, snuły o Polakach dziwne mylne pojęcia, często wręcz fantastyczne.

W lecie 1940 roku decydujące koła brytyjskiego myślistwa w poczuciu ogromnej odpowiedzialności, jaka wtedy na nich ciążyła, miały wątpliwości co do użycia polskich myśliwców w walkach w Anglii, przypuszczając, że Polacy, po dwóch poniesionych klęskach, w Polsce i we Francji, stanowili materiał ludzki zdemoralizowany i niezdolny do walki na tak ważnym odcinku. Gdy Polaków mimo to dopuszczono, okazało się już w pierwszych tygodniach, jak mylna była ta ujemna ocena.

Później sądzono, że polscy myśliwcy odnosili tak wielkie sukcesy, bo to szaleńcy i ryzykanci, nie szanujący swego życia. Nieporozumienie: Polaków ginęło stosunkowo znacznie mniej niż Brytyjczyków.

„Polacy to tylko dobrzy myśliwcy, bo taki jest ich niepowściągliwy temperament!” Nieprawda: liczne polskie załogi bombowe odznaczały się pracą wyjątkowo precyzyjną i dzielnie sekundowały swym brytyjskim kolegom.

„Polacy to naród wyłącznie lądowy!” Nieprawda: wypadało spojrzeć na ducha

ożywiającego nasze „Orły”, „Błyskawice” i „Kromanie”; wypadło wniknąć w silny, jedyny rozpęd, jakiego nabierała polska marynarka handlowa. Dość przytaczań!

Gdyby kiedyś polskich lotników zapytano, ile Wielka Brytania była im winna za ich wkład w tej wojnie i jak miała za to zapłacić — pytanie, choć brutalne, lecz bardzo ludzkie — lotnicy szeroko otworzyliby oczy i może zachnęliby się dotknięci: spełniali swą oczywistą powinność jako lojalni sojusznicy przeciw wspólnemu wrogowi i zapłaty od Brytanii nie chcieli.

Lecz potem, po zastanowieniu się, jednak zażądałoby czegoś. Mianowicie zażądałoby, ażeby Brytyjczycy i inni lepiej poznali Polaków. By poznali ich uczciwie, serdecznie, dokładnie, bez uprzedzeń; by poznali takich, jakimi Polacy rzeczywiście byli, a nie takich, jak ich często malowano, zniekształconych, nieprawdziwych.

Wtedy na pewno Brytyjczycy odkryliby, że naród, żyjący dokoła Wisły i Warty jest akurat taki sam jak wszystkie inne zdrowe i cywilizowane narody, ani nie gorszy, ani nie lepszy. Ze przeciętny Polak to właśnie taka dusza jak przeciętny Mr. Brown w Londynie, Mr. Bruce w Edynburgu czy Mr. Taylor w Chicago, że tak samo jak oni wierzy w istnienie wielkich moralnych wartości ludzkich i nie będzie umiał łamać swego słowa ani płodzić Quislingów.

Tego zażądałoby polscy lotnicy w zapłacie: uczciwego i rozumnego spojrzenia na Polaków.